

FRANCISZEK WSZOŁEK

TAK BYŁO

WSPOMNIENIA



Franciszek Wszolek

Tak było

wspomnienia



Oficyna
Wydawnicza
Łośgraf

Autor wspomnień: *Franciszek Wszolek*
Opracowanie tekstu i redakcja: *Andrzej Karpiński*
Korekta: *Joanna Łoś*
Projekt okładki: *Agnieszka Rybka*

© Copyright by Franciszek Wszolek
Katowice 2011

Oficina Wydawnicza Łośgraf
00-137 Warszawa, ul. Elektoralna 11
tel. +48 22 624 88 15, fax +48 22 890 98 66
www.losgraf.pl

Wydanie pierwsze
Przygotowanie do druku: *Jakub Łoś*
Druk i oprawa: TOTEM

Wstęp

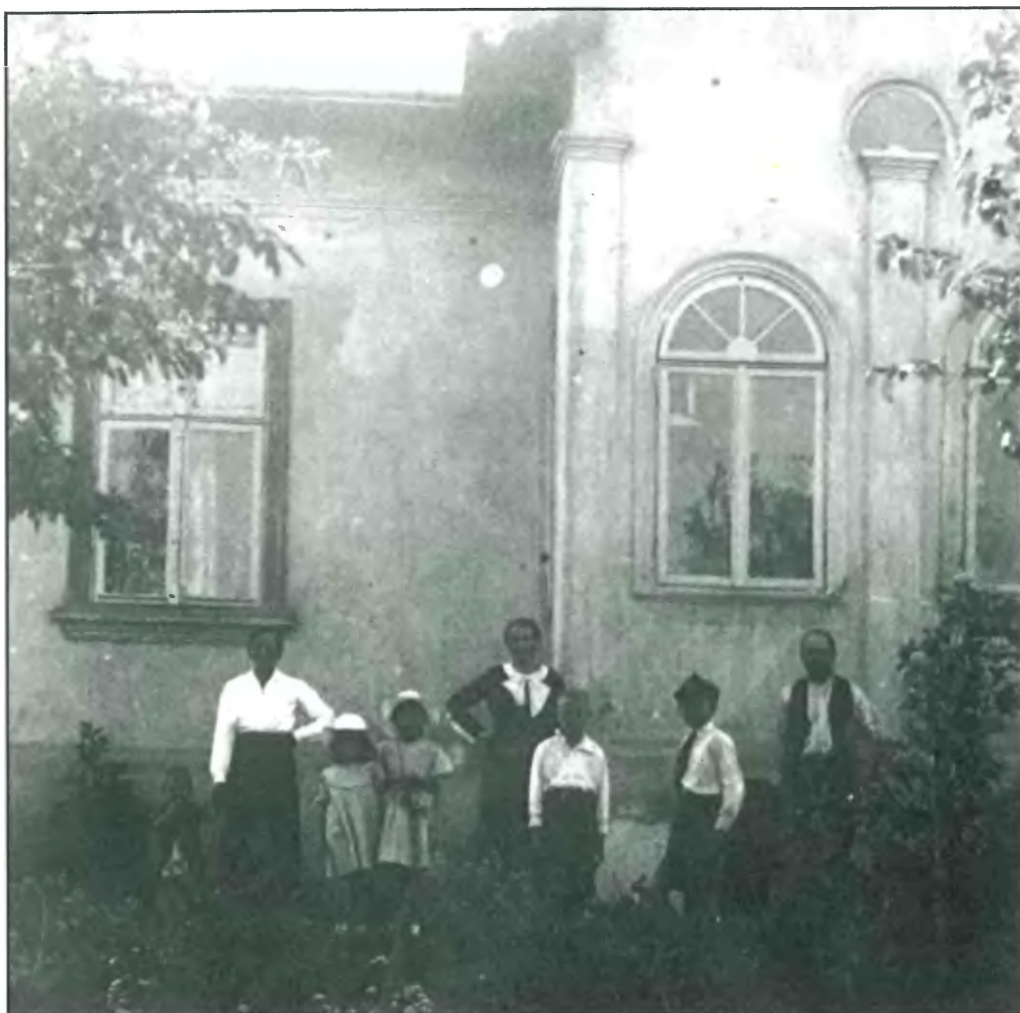
Prezentowanie moich wspomnień być może zdziwi niektóre osoby, które mnie znają, a może i wzbudzi nutkę niepokoju: cóż ten Wszółek na stare lata „wysmarował”? Mam jednak nadzieję, że życzliwa ciekawość zwycięży i doczytasz je, drogi czytelniku, do końca. Wszystko, co opisałem poniżej, zdarzyło się naprawdę i byłem tego świadkiem bądź uczestnikiem. Nie oczekuj pikantnych lub wstydliwych szczegółów mojego życia i wielkich tego świata, z którymi przyszło mi się spotkać. Nie należę bowiem do ludzi, którzy szukają taniego poklasku, bądź po latach mszczą się na swych wrogach, czy przytaczając trudne do zweryfikowania fakty, chcą odebrać im dobre imię. Młodym czytelnikom chcę przekazać tę część prawdy o minionych czasach, w których przyszło mi żyć i pragnę wam zagwarantować: TAK BYŁO!

Inicjatorem spisania tych wspomnień oraz ich redaktorem jest mój siostrzeniec Andrzej Karpiński, który zainteresował się losami naszej rodziny i przez jej drzewo genealogiczne, wspomnienie o moim ojcu, oraz wiersze, które napisała moja mama dotarł i do mnie.



Rodzice i dom

Moimi rodzicami byli Emil Wszółek i Maria z Horowiczów Wszółek. Pochodzili z Zagórzan koło Gorlic, a pobrali się w 1922 roku. Ojciec miał wtedy 27 lat i właśnie wrócił po dziewięciu latach z Ameryki, gdzie wzorem wielu młodych mieszkańców Podkarpacia, wyjechał, aby pracować i zarabiać. Za przywiezione dolary ojciec kupił 7 hektarów pola na górze cmentarnej w Gorlicach, gdzie wybudował dom, stajnię oraz stodołę i stał się gospodarzem. Ponieważ gospodarstwo rolne prowadził na wysokim, amerykańskim standardzie, był nazywany przez sąsiadów Emil – AMERYKAN.



Rodzina Wszółków w 1936 roku.

Od prawej: Emil, Franciszek, Jan, Maria, Helena, Zofia, służąca, Stanisława.

Rodzice dochowali się sześciorga dzieci: Franciszka (1923), Jana (1925), Helenę (1927), Zosię (1929), Stasię (1934) i Kazimierza (1941). W naszym domu nigdy nie brakowało chleba, a co 2–3 miesiące było świniobiecie, po którym na strychu suszyły się kielbasy i szynki. Mieliśmy 2–3 konie, 8–10 krów, 12 świń, setki kur, indyków itp. Mieliśmy stałą służbę: parobków i służącą, a w lecie przy żniwach pracowało 15–20 sezonowych robotników. Mleko osobiście nosiłem do miasta, do renomowanych odbiorców. W zimie dwie hektarowe łąki zalewane były wodą i ojciec organizował lodowisko dla mieszkańców miasta. Na naszym lodowisku rozgrywano również mecze hokejowe, a drużyna z Gorlic była nawet w pierwszej lidze! Gdy byłem starszy, osobiście sprzedawałem bilety wstępu. To były duże pieniądze i prestiż w powiecie.

Rodzice bardzo dbali o to, by wykształcić swoje dzieci i w pełni im się to udało, a czworo z nich (ja, Janek, Kazek i Zosia) ukończyli wyższe studia. Nie pamiętam konfliktów między dziećmi a rodzicami. Nie pamiętam też sporów między rodzicami, którzy odznaczałi się prostotą i sprawiedliwością. Ojciec Emil był może zbyt oszczędny i zawsze musiał mieć tak zwany żelazną rezerwę, ale była też mama, osoba bardzo wrażliwa, która miała ogromne matczyne serce i w potrzebie ratowała nas z finansowych tarapatów.

Ojciec przyjechał do Polski w 1922 roku na tzw. roczny urlop, z zamiarem ulokowania zarobionych dolarów, ożenienia się i powrotu do Ameryki. Kiedy zbliżał się termin wyjazdu, matka była ze mną w ciąży i bała się morskiej podróży, więc zdecydowali się urlop przedłużyć. Po moim urodzeniu czekali aż dorosnę, a potem przyszedł Janek, Hela i Ameryka przepadła. Dzięki temu przeżyłem swoje życie w kraju nad Wisłą, a nie nad Missisipi.

Mama zmarła w 1968 roku, a ojciec w 1977. Oboje są pochowani w rodzinnym grobowcu na cmentarzu parafialnym w Gorlicach.

W takich to sielskich warunkach upłynęło moje dzieciństwo i lata młodości. Przerwane zostały brutalnie przez wybuch wojny 1939 roku, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Rok 1939

Było lato – wakacje. Właśnie ukończyłem pierwszy rok nauki w Liceum im. Kromera w Gorlicach. Za rok czekała mnie matura. Kilka dni wakacji w lipcu to praca w domu: pasienie krów i pomoc przy pracach polowych. Pogoda była wspaniała.

Napięta atmosfera polityczna i roszczenia niemieckie w sprawie Gdańska i tak zwanego korytarza do Prus Wschodnich raczej nas nie interesowały. Gazetę ojciec kupował tylko na niedzielę, a radia nie mieliśmy, bo i tak prądu w domu nie było. Nagle 10-go lipca, jako harcerz ze stopniem drużynowego, zostałem zmobilizowany na obóz szkoleniowy. Całe szkolenie było ściśle tajne.



Defilada harcerzy Gorlice 1937 rok. Pierwszy z lewej Franciszek Wszółek.

Nasze namioty były zlokalizowane w Szymbarku koło Gorlic, w lesie strzeżonym przez patrole policyjne. Było nas 25 harcerzy. Przed szkoleniem przyjechał ksiądz prof. Górnicki i na ewangelię złożyliśmy przysięgę o zachowaniu tajemnicy wojskowej. Od tej chwili podlegaliśmy pod Sąd Wojskowy. Przeszkolono nas z obrony przeciwlotniczej: poznaliśmy wszystkie typy samolotów bojowych niemieckich i polskich, mieliśmy zdjęcia tych samolotów i ich charakterystyki. Następnie przeszkolono nas w obsłudze broni polskiej i niemieckiej: codziennie na strzelnicy w lesie każdy strzelał 100 naboju. Prowadzona była dokumentacja strzelania, na 25 harcerzy ja byłem na piątym miejscu. Przeszkolono nas w obsłudze łączności telefonicznej i radiowej, w szyfrowaniu meldunków oraz w technice wywiadu i konspiracji. Szkolenie prowadzili oficerowie z Krakowa i Krosna. Następnie przewieziono nas na lotnisko w Krośnie i każdy wykonał minimum 5 skoków ze spadochronem. Dnia 20 sierpnia 1939 roku otrzymaliśmy tajny zaszyfrowany rozkaz, że wojna jest nieunikniona. Obóz szkoleniowy zlikwidowano, a nas przeniesiono na Stanowisko Obserwacji Samolotów, które było zakonspirowane na wieży budynku dla bezdomnych, zwanego przez

mieszkańców „dziadownią”. Oczywiście bezdomnych wcześniej gdzieś wysiedlono. Mieliśmy tam zainstalowane tarcze-kompasy, środki łączności, lornetki, byliśmy uzbrojeni w karabiny i pistolety. Obserwację nieba prowadziliśmy na zmiany przez 24 godziny na dobę. Z rodzinami nie wolno było się kontaktować, a policjanci po cywilnemu dostarczali nam żywność. Jako placówka wojskowa specjalnego znaczenia otrzymywaliśmy wszystkie tajne rozkazy wojskowe. Od 20-go sierpnia do 1-go września nic się nie działo – laba i opalanie się.

Dnia 1-go września moja drużyna zaczęła wartę o godz. 6 rano. Dokładnie o 6.14 zaobserwowaliśmy eskadrę samolotów, które rozpozналиśmy jako niemieckie bombowce typu Dornier. Były na wysokości tysiąca metrów i leciały w kierunku Krosna, gdzie było lotnisko wojskowe. Uruchomiłem szyfrowy alarm bojowy, że Niemcy lecą na Krosno. Po kilku minutach kapitan portu lotniczego w Krośnie krzyknął przez radio: – *Gówniarzu! Coś ty zrobił! Całe lotnisko postawiłeś w stan bojowy! Wojny przecież NIE MA!!!* I dalej wymyślał mi, nie przebierając w słowach. Nagle przerywał i usłyszeliśmy tylko przekleństwo, po czym połączenie się przerwało. To bomby spadły na lotnisko, spaliły hangary i samoloty na ziemi. Jak się później dowiedziałem, ten oficer, który nazwał nas nieodpowiedzialnymi gówniarzami, zginął w czasie tego nalotu od ognia karabinu maszynowego. Na naszym stanowisku obserwacyjnym byliśmy do dnia 7-go września, kiedy to otrzymaliśmy rozkaz ewakuacji. Dokładnie pamiętam, że do tego czasu przekazaliśmy 42 meldunki o przelocie samolotów niemieckich. Na naszej placówce mieliśmy jeden przeciwlotniczy karabin maszynowy, z którego strzelaliśmy dwa razy do samolotów, które bardzo nisko latały nad Gorlicami. Były to samoloty zwiadowcze, bo nie atakowały nas, tylko po ostrzeleniu szybko odleciały.

Dnia 7-go września otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia posterunku obserwacyjnego i zameldowania się na lotnisku w Krośnie. Mieliśmy zarekwirować furmankę, konie i zabrać broń oraz resztę wyposażenia posterunku. Było nas 25 harcerzy. Ja byłem szefem i miałem dwóch zastępców: jeden nazywał się Apollo, a drugi Martynowski. Wieczorem weszliśmy do centrum miasta, a tu... pustka. Kilka godzin wcześniej mieszkańcy uciekli. Gdy tak chodziliśmy po pustych ulicach, spotkaliśmy Dyrektora Spółdzielni Rolniczej „Sierp” inż. Boczka. Dyrektor otworzył nam magazyn z rowerami i mówi: – *Chłopczy bierzcie co potrzebujecie!* Każdy z nas wziął rower i przywiązał do niego: dwa karabiny, torbę z pistoletami, torbę z amunicją, połowy namiot, koc itp. Pamiętam, Żyd Degen otworzył swój sklep i mówi: – *Wszystko wasie! Za darmo!* Głównie braliśmy

czekoladę i soki do picia. Około północy z 7-go na 8-go września opuściliśmy Gorlice. Rowery były tak obciążone, że w większości je prowadziliśmy. Poruszaliśmy się w zwartej grupie ubrani w harcerskie mundurki, mieliśmy broń, szło z nami również kilku żołnierzy. Około czwartej rano, gdy byliśmy na krzyżówce w Zagórzanach, od strony zamku hrabiego Skrzyńskiego zaskoczyli nas Niemcy na motocyklach. Broniliśmy się około dwóch godzin, a potem wycofaliśmy się na most w Klęczanach. Motocykliści niemieccy zaatakowali nas ponownie około dziewiątej rano. Tym razem byliśmy przygotowani i obrona mostu szła nam dobrze. Niestety, po trzech godzinach Niemcy zaczęli strzelać do nas z działek polowych i nie było wyjścia: podpaliśmy most, a następnie wycofaliśmy się do Biecza, a potem do Jasła. Stamtąd do Krosna, które płonęło: paliło się lotnisko, paliła się rafineria, a my cofaliśmy się do Sanoka, Ustrzyk, Strynia i Borysławia, gdzie wcielono nas do kompanii strzeleckiej. Po zbombardowaniu Drohobycza i Borysławia otrzymaliśmy rozkaz udania się na Węgry, przez przejście graniczne w Siankach. Na granicy węgierskiej byłem 18-go września z dwoma harcerzami Apollo i Martynowskim. Granica była otwarta i tłumy wojskowych oraz cywilów uciekały na Węgry. My oczywiście na rowerach, tylko jeden karabin i jeden pistolet.

Na granicy pękła mi dętka i zostałem, aby ją załatać, wówczas moi koledzy przeszli granicę i obiecali znaleźć kwaterę w pierwszej wiosce. Naprawa koła zabrała mi około dwie godziny, a tu od strony Węgier wracały tłumy żołnierzy i oficerów, opowiadających że wszystkich rozbrajają i internują. Jakiś pułkownik siadł obok mnie i rozpłakał się mówiąc, że Sowieci weszli do Polski i pewnie rano tu będą. Sytuacja była rozpaczliwa: na Węgrzech – internowanie, a Sowieci – to Sybir. Poczekaliśmy trochę czy koledzy nie wrócą i poszliśmy z powrotem do Borysławia. Tam zakopaliśmy broń oraz mundury i jako cywile – uciekinierzy, ruszyliśmy z powrotem. Nowa granica niemiecko-radziecka była wyznaczona na rzece San. Udało nam się ją przekroczyć razem z wycofującym się wojskiem niemieckim. W domu w Gorlicach byłem dopiero na Wszystkich Świętych.

Moich kolegów Apollo i Martynowskiego, którzy przeszli na Węgry, spotkałem po 60-ciu latach na zjeździe wychowanków Gimnazjum im. Kromera w Gorlicach. Jeden z nich był pilotem, a drugi marynarzem.

Wiosną 1941 roku zostałem wcielony do gorlickiego obozu pracy Baudienst, czyli Służba Budowlana. Została utworzona w grudniu 1940 roku i stanowiła jedną z form pracy przymusowej młodych Polaków na rzecz Niemiec. Powoływani

do niej byli ci, którzy byli bezrobotni lub nie mieli stałego zatrudnienia. Ci, którzy uchylali się od służby, byli ścigani przez policję, a po zatrzymaniu wysyłani na bezterminowe przymusowe roboty do Niemiec. Praca w Baudienst trwała pół roku i polegała na budowaniu oraz konserwacji dróg i mostów, regulacji rzek i tym podobnych prac publicznych. W miarę upływu czasu i rosnących potrzeb wojennych Rzeszy, zatrudniano więźniów Baudienstu również w niemieckich i austriackich fabrykach, które pracowały na rzecz wojska. Początkowo obozy Baudienst miały charakter półotwarte, ale od 1943 roku wszystkie były ogrodzone i pilnowane. W Gorlicach w ramach Baudienstu budowaliśmy most drewniany przez rzekę Ropę w miejscu, gdzie teraz jest most wiszący wiodący do parku Kościuszki. Ponieważ mówiłem trochę po niemiecku, szybko zostałem tłumaczem w obozowym biurze. Moja „służba” tam trwała cały rok. Nie napracowałem się za bardzo, ale była to świetna szkoła praktycznej nauki języka niemieckiego.

Okres krakowski

Wybuch wojny przerwał moją edukację. Wszystkie szkoły średnie i wyższe zostały zamknięte. Jedyną wyższą szkołą w Generalnej Guberni była Państwowa Szkoła Techniczna Górniczo-Hutniczo-Miernicza czyli Staatliche Fachschule Für Berg – Hütten Und Vermessungswesen. Mieściła się w Krakowie w starym budynku na Krzemionkach, tym samym, gdzie dziś mieści się siedziba Telewizji Kraków. Budynek Krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, Niemcy zamienili na Kancelarię Generalnego Gubernatora dr Hansa Franka. Szkoła ta dawała stopień „inżyniera zawodowego”, a rektorem był prof. Goetel, zaś wykładowcami między innymi prof. Budryk (powstała kopalnia jego imienia), prof. Krupiński (powstała kopalnia „Krupiński”) i prof. Czeczot (powstała kopalnia „Czeczot”, choć obecnie w likwidacji). W tej szkole zacząłem naukę za namową ojca, a właściwie na jego polecenie, któremu zawsze marzył się syn inżynier – nafciarz. Mieszkałem wtedy w Krakowie przy ulicy Topolowej 10 u emerytowanego maszynisty kolejowego Kołaczka.

Jako polski patriota, były harcerz i konspirator uczęszczałem również na podchorążówkę Armii Krajowej na ulicy Bosackiej. Ta szkoła dawała tytuł podporucznika. Rodzina Kołaczków pochodziła z podkrakowskiej wsi Mogiła, na której terenie zbudowano po wojnie Hutę im. Lenina. Część tej rodziny to byli Akowcy, a część to komuniści. Jeden z Kołaczków był po wojnie Szefem Cenzury

i Kontroli Komitetu Centralnego PPR i PZPR, a jego bratanek chodził ze mną na podchorążówkę Armii Krajowej. Kiedy Niemcy go złapali, na przesłuchaniu „sypnął” moje nazwisko.

Dnia 6-go czerwca 1944 roku na sali wykładowej Szkoły Technicznej zostałem aresztowany i skuty przez dwóch gestapowców ubranych w długie skórzane płaszcze. Zapakowali mnie do samochodu i zawieźli na Komendę. Była dokładnie godzina dwunasta w południe, gdy przejeżdżaliśmy przez Rynek. Przez głośniki zaczęto nadawać SONDERBERICHT – Komunikat Specjalny. Ruch zamarł i wszyscy przechodnie stali i przejęci słuchali słów płynących z głośnika. Gestapowcy zdziwieni, co się stało, zatrzymali samochód i kazali mi przetłumaczyć komunikat z polskiego na niemiecki. Powiedziałem im, że właśnie dziś alianci wylądowali w Normandii. Rozpoczęła się inwazja i otworzony został drugi front. Niemcy byli przerażeni. Kazali mi jeszcze raz przetłumaczyć, ilu Amerykanów wylądowało we Francji? Odpowiedziałem, że tysiące i że Wał Atlantycki został przebity. To ich dobiło. Przywieźli mnie do Komendy Gestapo na ulicy Pomorskiej i zamknęli w piwnicy. Przez tydzień nikt ze mną nie rozmawiał. Po tygodniu pierwsze przesłuchanie i pierwsze bicie, ale niezbyt mocne: dostałem tylko kilka razy w pysk i parę kopniaków. Niemcy w tym czasie mniej się interesowali więźniami, gdyż wyczekiwali nowych komunikatów z drugiego frontu i urządzali z tej okazji ciągle pijatyki. Obok mojej celi siedzieli słynny narciarz skoczek Bronisław Czech i narciarka Helena Marusarzówna – tatrzańscy kurierzy na Węgry. Któregoś dnia ich rozstrzelali, a mnie przewieźli do więzienia na Montelupich. Tam byłem wielokrotnie przesłuchiwany. Pewnego dnia po upływie około miesiąca, wynosiłem wiadro ze śmieciami. Eskortował mnie taki stary, może sześćdziesięcioletni Niemiec z karabinem. Podwórze było duże, a śmietnik był przy samej bramie wjazdowej. Niemiec został w drzwiach, a ja wysypując śmieci, widzę że brama jest uchylona. Spojrzałem w jego stronę, a on daje mi ręką znaki żebym uciekał! I woła: – *Weg! Weg!* Ja za bardzo nie kwapiłem się do ucieczki, bo myślałem, że chce mnie zastrzelić w czasie próby ucieczki. Ale Niemiec karabin miał na ramieniu, a zatem zanim go zdejmie, wyceluje i wystrzeli, potrzeba na to trochę czasu, a ja do uchylonej bramy potrzebuję kilka sekund! I zdecydowałem się. Za bramą ulica była zupełnie pusta. Przebiegłem około 50 metrów i gdy byłem obok stojącego tam samochodu, nagle wyszedł z niego cywil w tyrolskim, zielonym kapeluszu z piórkiem, zagarnął mnie do środka na tylne siedzenie, po czym ostro ruszył z miejsca.

STAATLICHE FACHSCHULE FÜR BERG-HUTTEN
UND VERMESSUNGSWESSEN IN KRAKAU

Państwowa Szkoła Techniczna
Górnictwo - Hutniczo - Miernicza
w Krakau Krzemionki 11

P o ś w i a d c z e n i e

Górník /uczeń/.....W.s.z.o.ł.e.k..F.r.a.n.c.i.s.z.e.k
urodzony ...4..kwietnia...1923.w.Gorlicach Powiat..Jasło.
wyznania.....rzymsko-katol.....został sklasyfikowany w roku
szkolnym 1942/3 /półrocze/ następująco.

Zachowanie.....	bardzo dobrze
Religja.....	bardzo dobrze
Górnictwo.....	dobrze
Maszynoznawstwo.....	bardzo dobrze
Mechanika techniczna.....	dobrze
Budownictwo.....	dostatecznie
Rysunek techniczny.....	dobrze
Rysunek konstrukcyjny.....	dostatecznie
Geodezja.....	dobrze
Mineralogja.....	dostatecznie
Geologja.....	dobrze
Algebra.....	dostatecznie
Geometria analityczna.....	dostatecznie
Trygonometria.....	dobrze
Fizyka.....	bardzo dobrze
Chemia.....	bardzo dobrze
J. niemiecki.....	dobrze
Korespondencja polska.....	bardzo dobrze

D y r e k c j a

W. Goettel

Kraków 29.1.1943r.

Zaświadczenie niniejsze wydał sekretariat na prośbę ucznia.

Jechaliśmy przez cały Kraków w stronę Wieliczki. Niemiec nic nie mówił, a ja kombinowałem, co to ma znaczyć i jak stąd uciec. Ale samochód miał tylko dwoje drzwi i wciąż jechał, a ja musiałbym go udusić, co spowodowałoby wypadek i też mógłbym zginąć. Tak dojechaliśmy do Prokocimia. Niemiec zatrzymał samochód, wyjął pistolet i powiedział po niemiecku: – *Nazywam się Versching. Zorganizowałem ci ucieczkę, bo prosił mnie o to twój ojciec. Do Gorlic nie możesz wrócić, a jeżeli dasz się złapać, to ja cię osobiście z tego pistoletu zastrzelę! A teraz WON!*

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Po chwili byłem na ulicy, ale nie usłuchałem go i ruszyłem w drogę do domu. Droga, około 150 km, zabrała mi tydzień. Szedłem nocą, a w dzień wchodziłem na drzewo, przywiązywałem się paskiem do gałęzi i spałem. Jadłem tylko owoce, które kradłem w sadach. W Gorlicach zatrzymałem się u mojego ojca chrzestnego Franciszka Wszółka. Pobyt na gestapo i pieszą wędrówkę do domu przypłaciłem ciężkim zapaleniem płuc. Chorowałem dwa tygodnie, leczyli mnie stawiając bańki. Po wyzdrowieniu, znajomi z konspiracji wyrobili mi nowe papiery na nazwisko Józef Młynarski. Odtąd byłem kolejarem ze wschodniej Polski. Wtedy też ojciec opowiedział mi, jak doszło do mojej ucieczki z więzienia. Otóż w Gorlicach rezydował i prowadził różne interesy Niemiec o nazwisku Versching. Oficjalnie był kimś w rodzaju poborcy kontyngentowego, którego zadaniem było ekspediowanie do Rzeszy zarekwirowanych towarów. Ale wszyscy w mieście wiedzieli, że oprócz oficjalnej, prowadzi też prywatną działalność zaopatrywania wysokich funkcjonariuszy w potrzebne im dobra. W szczególności był znawcą i miłośnikiem koni, które kupował lub rekwirował w całej okolicy. Pewnego razu kilka koni, które miał, ciężko zachorowało. Próbował je leczyć, sprowadzał weterynarza, ale nic nie pomagało, konie marniały w oczach i widać było, że bardzo cierpią. Gdy zdawało się, że nie ma dla nich ratunku, ktoś mu powiedział, że jest taki Wszółek, który zna się na koniach, bo kiedyś hodował konie i on na pewno pomoże. Ojciec obejrzał zwierzęta i od razu rozpoczął kurację. Przez trzy dni masował końskie brzuchy i poił je jakimiś wywarami, aż konie wyzdrowiały. Niemiec był bardzo poruszony tym, co widział i chciał sownie ojca wynagrodzić. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy ten po angielsku podziękował mu za zapłatę i powiedział, że zrobił to, bo żał mu było koni. Wtedy Versching uściśnął mu dłoń i powiedział, że gdy będzie miał kłopoty z władzami, to postara się pomóc. Minęło wiele miesięcy aż przyszła na to pora. Niemiec nie złamał danej obietnicy. Pojechał do Krakowa zaopatrzony w kilka koszy szynek, kiełbas,

jajek, serów i beczułkę samogonu, dostarczonych mu przez ojca. Tam dotarł do właściwego gestapowca, pił z nim całą noc, a ten następnego wieczora umożliwił mi ucieczkę z więzienia. W ten to sposób zawdzięczam życie nieznanemu Bawarczykowi, który bardzo kochał konie. Dwadzieścia lat po wojnie, w czasie pobytu w Niemczech Zachodnich, odszukałem i odwiedziłem w Bawarii rodzinę Verschingów. Chciałem osobiście podziękować za pomoc okazaną mi przed laty. Niestety, mój wybawca już nie żył, a synowie przyjęli przybysza z Polski bardzo chłodno i nie chcieli kontynuować znajomości.

Był sierpień 1944 roku. Front ustabilizował się w Jaśle, to jest około 20 kilometrów od Gorlic. Miasto Gorlice znalazło się w strefie przyfrontowej i zaczęto je ewakuować. Spółdzielnia „Sierp” dostała polecenie ewakuacji wszystkich swych towarów do Szaflar koło Zakopanego. Były to towary przemysłowe takie jak maszyny rolnicze, ale również i żywność. Inż. Boczek, dyrektor Spółdzielni, zatrudnił mnie wówczas i zostałem odpowiedzialny za opiekę nad przesiedlonym majątkiem Spółdzielni. Wybudowałem w Szaflarach dwa baraki, do których zwożono towary. Kupiono mi bryczkę i dwa kucyki, którymi jeździłem po Zakopanem. Jako ratownik majątku niemieckiego, otrzymałem od Niemców żelazne przepustki. Przez cały ten czas, aż do końca wojny, nie komunikowałem się z rodziną, jedynie dawałem znak, że żyję.

Mieszkałem u górala, który był w Szaflarach komendantem straży pożarnej. Jego żona była siostrą sławnego partyzanta „Ognia” z Waksmundu. W grudniu 1944 roku „Ogień” z dwustu partyzantami opanował Szaflary, obrabował mleczarnię z masła i serów, zapakował wszystko na furmanki i wywiózł do swego obozu na Turbaczu. Oczywiście „Ogień”, w pięknym mundurze porucznika i jego adiutant sierżant, starszy góral, całą noc balowali u nas w domu przy beczce samogonu. Namawiał mnie, abym poszedł za nim do lasu, bo potrzebny był mu tłumacz niemieckiego. Nie odmówiłem, ale nie poszedłem.

Po wyzwoleniu

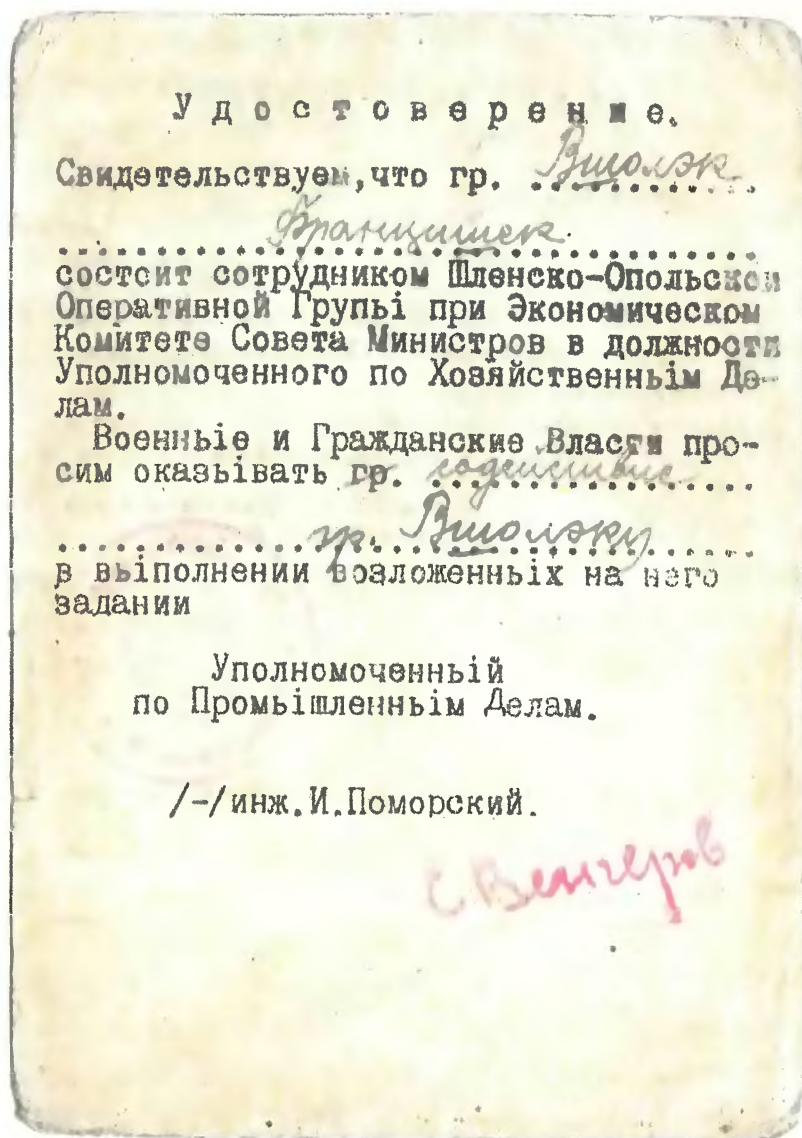
Dnia 30-go stycznia 1945 roku Rosjanie weszli do Nowego Targu i do Zakopanego, ale to już byli inni Rosjanie niż ci, których widziałem w 1939 roku. Mieli porządne mundury i amerykańskie samochody. Komendant „Ogień” został szefem Milicji w Nowym Targu, a jego partyzanci ubrali mundury milicjantów. Ta zabawa w przyjaźń trwała prawie rok. Gdy Nowym Targiem zaczął

rządzić Pierwszy Sekretarz PPR-u sławny Machejek (znany dziennikarz), pokazał na czym polega komuna. „Ogień” podpalił Komendę Milicji w Nowym Targu, zabrał swoich ludzi z powrotem do lasu i walczył z komuną jeszcze dwa lata. „Ogień” zginął w 1947 roku na plantach w Krakowie w czasie próby odbicia z UB aresztowanych partyzantów. W 2006 roku Prezydent Kaczyński odsłonił w Nowym Targu pomnik „Ognia”.

Po wyzwoleniu zaraz pojechałem rowerem do Krakowa. Kraków był rozczarowany rajem sowieckim. Inteligencja krakowska nie uznawała robotniczego rządu, uważając, że to nowa okupacja i mieli rację. Wróciłem do Szaflar, gdzie zapakowałem moją bryczkę z kucykami i ruszyłem do Gorlic. To był marzec 1945 roku. W Spółdzielni „Sierp” pracował pan Serafin – przedwojenny dyrektor ekonomiczny PKP z Katowic, który przyjaźnił się z ojcem. Pod koniec marca pan Serafin zorganizował ciężarówkę, zapakował swoje graty, żonę i córkę, i ze mną jako kierowcą wyruszyliśmy do Katowic. Ciężarówka się psuła i do Krakowa jechaliśmy trzy dni. Tam mieszkaliśmy trzy dni, a ja naprawiałem samochód. W Krakowie, w delegaturze Rządu, wyrobiliśmy sobie nowe polsko-rosyjskie papiery i zostałem Pełnomocnikiem do spraw Przemysłu Ziemi Odzyskanych. Z Krakowa do Katowic (około 80 kilometrów) jechaliśmy kolejne dwa dni. W Katowicach, dyrektor Serafin wprowadził się do swojego wielkiego pięciopokojowego dyrektorskiego mieszkania, które zachowało się nietknięte z pełnym wyposażeniem i meblami. Już następnego dnia dyrektor Serafin był w swoim biurze i rozpoczął normalne urzędowanie. Codziennie zgłaszali się przedwojenni urzędnicy, dyrektorzy górnictwa, hutnictwa i energetyki.

Każdego dnia organizowaliśmy powitalne kolacje. Na jednej z nich byli obecni Wojewoda Śląski generał Zawadzki i pułkownik (później również generał) Jerzy Ziętek. Zaproponowali mi, abym, jako Tymczasowy Prezydent Miasta, przejął od wojsk rosyjskich miasto Zabrze. Otrzymałem dwa samochody „łaziki”, siedmiu milicjantów z karabinami w cywilu (brak było mundurów) i polską flagę. W Zabrzu panował totalny chaos: wojsko plądrowało miasto, a czołgi parkowały w oknach wystawowych. Miasto Zabrze nazywało się Hindenburg. Ulokowaliśmy się w Urzędzie Miasta. Wszystkie pomieszczenia były splądrowane przez Rosjan. Nad bramą wejściową zawiesiliśmy polską flagę i zabraliśmy się do sprzątania. Wieczorem, w asyście oddziału wojska, przybył rosyjski Komendant Wojenny Miasta. Flagę potargał, moje papiery podarł na strzępy i powiedział, że żadnej wolnej Polski nie ma i nie będzie, a nas z miasta wypędził. Każdy z nas dostał kopniaka na drogę. Było to dokładnie 15-go kwietnia.

Dnia 1-go maja 1945 roku biskup Adamski odprawił w Katowicach przy budynku Wojewody Śląskiego uroczystą mszę świętą, na której ogłosił, że Berlin został zdobyty, a Hitler nie żyje. We mszy uczestniczyło wojsko polskie i rosyjskie.



Moje zaświadczenie o przynależności do Śląsko-Opolskiej Grupy Operacyjnej.

Dnia 2-go maja ponownie pojechaliśmy do Hindenburga – Zabrze. Tym razem jechaliśmy tramwajem z dwudziestoma żołnierzami, dwudziestoma mili-
cjantami i mieliśmy 10 polskich flag. Tym razem przejęliśmy budynek Urzędu

Miasta bez kłopotów i wkrótce w każdym oknie tkwiła zatknięta biało-czerwona flaga. Posprzątałem swoje biuro, obok urządziłem sypialnię (siennik ze słomą na podłodze) i zacząłem urzędowanie. Prezydentem Zabrza byłem do sierpnia 1945 roku, kiedy to zgłosił się nominowany nowy Prezydent, znany działacz polski Paweł Dubiel. Ja rozpocząłem przejmowanie dla Polski kopalni węgla „Ludwik”, „Concordia” i „Mikulczyce”.

Wszystkie te funkcje i obowiązki spadły na mnie niespodziewanie. Nigdy nie marzyłem o karierze urzędniczej. Zawsze widziałem siebie jako nafciarza, kierownika robót wiertniczych, specjalistę od wiercenia szybów naftowych. Tereny skąd pochodzę (Gorlice, Krosno), to okolice, gdzie powstał światowy przemysł naftowy, a w gorlickiej aptece powstała pierwsza na świecie lampa naftowa. Zawsze była tam żywa tradycja bogatych nafciarzy i tryskających ropą szybów. Niestety po zakończeniu wojny przestarzały polski przemysł naftowy był zniszczony, a złoża poddane kilkuletniej rabunkowej, wojennej eksploatacji, nie rokowały szybkiego zwrotu koniecznych nakładów. Węgiel zaś był na wyciąganie dłoni, trzeba było „tylko” go wydobyć. Krótki czas, gdy zajmowałem się przywracaniem do życia przejętych kopalni uzmysłowił mi, jak wielkie są możliwości sprawdzenia się w górnictwie węglowym. Poza tym miałem za sobą studia na Wydziale Górniczym i tytuł inżyniera zawodowego. W taki to sposób zostałem górnikiem na Śląsku.

Śląsk wzywa

Zawód górniczy oparty jest nie na teorii tylko na praktyce. Rozpocząłem więc pracę w kopalni „Ludwik” w Zabrzu, najpierw jako nadgórnika, potem sztygar, a następnie jako sztygar oddziałowy. Imponowało mi, że miałem na oddziale stu dwudziestu górników i produkowałem dziennie około 500 ton węgla (co dwa dni ładowano pociąg z węglem). Górnicy śląscy imponowali mi pracowitością, zdyscyplinowaniem i tradycją górniczą. Ja „gorol”, jako młody polski inżynier, starałem się być sprawiedliwym szefem, dzieląc wspólne troski i trudy mojej górniczej załogi.

Pierwsze lata po wojnie, my młodzi Polacy, z entuzjazmem i zapałem rozpoczęliśmy odbudowę niepodległej Ojczyzny. Kopalnia „Ludwik”, w której przyszło mi rozpocząć pracę, przed wojną nazywała się „Ludwik Glück-Grube” i była wielokrotnie odwiedzana przez Hitlera, a nawet odznaczona „Sztandarem Hitlera”.

Byłem pierwszym polskim inżynierem, który przyjechał do kopalni, by przejąć ją dla Polski. Większość górników członków NSDAP, jak również cały dozór techniczny, wszyscy inżynierowie, uciekli z wycofującymi się wojskami hitlerowskimi. Pozostali Niemcy w ciągu kilku miesięcy lata i jesieni 1945 roku zostali przez Rosjan załadowani do pociągów i wywiezieni na zachód. Doliczyłem się, że z załogi „Ludwika” pozostało około trzystu górników, którzy deklarowali polskie lub śląskie pochodzenie. W kwietniu i maju 1945 roku w czasie zamętu końca wojny, grupa starych górników samorzutnie przychodziła do kopalni, gdzie obsługiwali pompy i wentylatory, utrzymując je w ruchu, co uratowało kopalnię przed zalaniem. Ponieważ Armia Czerwona zajęła Śląsk bez większych walk i zniszczeń, można było stosunkowo szybko wznowić produkcję. Elektrownie działały cały czas. W lipcu na kopalnię przybył mgr inż. Albrecht z nominacją na dyrektora. Ogłosiliśmy, żeby górnicy wracali do pracy, bo chcemy wznowić wydobywanie i w sierpniu pierwszy węgiel wysłaliśmy do pobliskich elektrowni.

Magazyny kopalniane pozostawione przez Niemców były pełne narzędzi górniczych: kilofów, łopat i materiałów wybuchowych do urabiania węgla. Pełny pozostał też magazyn żywnościowy. Oczywiście natychmiast uruchomiliśmy stołówkę i zamiast pieniędzy każdy górnik dostawał supę, tak zwany „eintopf”. Była to bardzo gęsta zupa jarzynowa z kawałkami mięsa z konserw wojskowych. Każdy górnik dostawał wiaderko takiej zupy dla rodziny. Zamiast wypłaty dawaliśmy górnikom woreczki z mąką i konserwy wojskowe. Na takich warunkach pracowaliśmy do końca 1945 roku, kiedy to na Sylwestra każdy dostał 500 złotych. To były wspaniałe czasy. Nikt nie pytał, co mi da Polska, a każdy z nas robił, co mógł dla Wolnej Polski.

Wokół kopalni „Ludwik” były setki pustych, umeblowanych mieszkań. Ja dla siebie (kawalera) wybrałem luksusowe, jak na tamte czasy, czteropokojowe mieszkanie po sztygarze objazdowym. Gdy wszedłem do środka, zastałem kompletnie wyposażone mieszkanie ze wszystkimi sprzętami, a na stole w jadalni sześć talerzy z nalaną w nich supą. Po kilku miesiącach nieobecności gospodarzy talerze przykrywał gruby kożuch z pleśni. Szafy były pełne ubrań, bo Niemcy uciekali z Wehrmachem i widocznie nie pozwolono im zabrać nawet walizki lub torby. Uciekli, zostawiając niedojedzoną supę.

W pierwszej połowie 1946 roku do Zabrza przyjechało kilka pociągów emigrantów z Belgii i Francji, górników z rodzinami. Wszyscy oni deklarowali, że są komunistami. Przydzieliliśmy im gotowe mieszkania z meblami, pełnymi szafami i ogródkami, tak zwane domki górnicze. Wszystko za darmo i bez ograniczeń.

Niestety z pracą emigrantów francuskich było fatalnie: dyscyplina żadna, flaszki wina zabierali do pracy na dole i tam się upijali. Pracowali może 40% czasu, a reszta to śniadanie i odpoczynek. W ogóle nie szanowali rygoru górniczego. Oni uważali, że Polska jest komunistyczna, to znaczy raj na ziemi i nie trzeba pracować. To przecież gwarantował Marks, Engels, Lenin i Stalin. Górniczy-Ślązacy zachowaniem emigrantów byli przerażeni, my jako dozór techniczny też, stwarzali bowiem ogromne zagrożenie bezpieczeństwa pracy. Dyscyplinowanie ich było niemożliwe, gdyż był ogólny brak rąk do pracy i o dopominanie się czegoś od robotników, a tym bardziej komunistów, nie było mowy.

W każdej kopalni węgla znajduje się pomieszczenie, tak zwane cechownia, w którym górnicy załatwiają swoje sprawy służbowe przed zjazdem w dół i po powrocie na powierzchnię. Każdy oddział (szytgar) miał swoje okienko, w którym górnicy pobierali kwity na nowe łopaty, kilofy, materiały wybuchowe, kartki na mąkę, kaszę, konserwy wojskowe itp., a po wyjeździe na górę i po umyciu w łaźni zapisywali swoje dniówki i ilość urobionego węgla. Kwity te wypisywał, a również obliczał akord i przygotowywał listy płac do zatwierdzenia przez szytgara, tak zwany kalifaktor, którym był przeważnie emerytowany lub kontuzjowany górnik. Wszyscy stosowali się do tego uświęconego tradycją porządku, wszyscy, z jednym wyjątkiem.

Wśród górników emigrantów był wykwalifikowany górnik przodowy, strzałowy Wincenty Pstrowski. Został on przydzielony do mojego oddziału produkcyjnego. Pstrowski zamiast załatwiać sprawy z kalifaktorem wchodził do izby szytgarskiej, walił pięścią w stół i domagał się, by go „obsługiwał” szytgar. Po kilku takich awanturach i waleniu pięścią w stół szytgarski, kazałem kalifaktorom wyrzucić go siłą z izby szytgarów, co bardzo chętnie wykonali. Wściekły Pstrowski poszedł do dyrektora kopalni i zażądał, by szytgara Wszółka wyrzucić z kopalni. Gdy dyrektor powiedział mu, że Wszółek ma rację, poszedł do sekretarza partii PPR, ale tam też przyznali rację Wszółkowi. Wtedy Pstrowski zażądał natychmiastowego zwolnienia z pracy, co z przyjemnością uczyniono i przeniósł się do pracy na kopalnię „Jadwiga” w dzielnicy Zabrze-Biskupice. W kopalni „Jadwiga” zatrudnił się jako instruktor-nauczyciel do zajęć praktycznych, w kopalnianej, górniczej szkole zawodowej. Od tej pory Pstrowski otrzymywał codziennie dziesięciu, piętnastu uczniów do pracy w chodniku węglowym. Byli to siedemnasto-, osiemnastoletni chłopcy. Uczniowie wiercili otwory, Pstrowski zakładał materiał wybuchowy, strzelał, a oni pod nadzorem nauczyciela załadowywali urobek na

wagoniki i obudowywali chodnik, drewnianą obudową. Norma dzienna dla górnika przy takim systemie pracy wynosiła 1,2 metra. Uczniowie pod nadzorem Pstrowskiego robili bez problemu trzy razy tyle. Pstrowski, jako jeden górnika zgłaszał codziennie wykonanie 3,6 metra chodnika to znaczy 300% normy! Tych kilkunastu uczniów nie liczył. Ktoś z partyjnych agitatorów usłyszał o niezwykłych osiągnięciach Pstrowskiego i bez sprawdzenia sprawy na miejscu, nagłośnił sprawę w prasie i radiu. Po pewnym czasie, za namową partyjnych propagandystów Pstrowski wystosował apel do górników w Polsce, by i oni przekraczali normy wydobywania. W ten sposób narodził się pierwszy polski Przodownik Pracy. Współzawodnictwo pracy stało się głównym problemem politycznym Polski Ludowej. Przodownicy pracy powstawali w hutnictwie, budownictwie (30 tysięcy cegieł na zmianę!), w stoczniach, a nawet w urzędach (!). Nadawano im odznaczenia, zasiadali w prezydiach partyjnych i administracyjnych, a ogromne fotografie przodowników pracy wieszano na głównych ulicach miast. Polski Stachanowiec, górnika rębacz, przodownik Wincenty Pstrowski otrzymał chyba wszystkie możliwe do zdobycia w Polsce medale i odznaczenia, w tym najwyższe: Budowniczy Polski Ludowej. Wożono go na wiece po wszystkich większych fabrykach i stał się symbolem budownictwa komunizmu w Polsce Ludowej. Oczywiście, już na dole nie pracował. Otrzymał luksusową willę przy kopalni „Jadwiga”, gdzie do dziś mieszka jego rodzina. Miał też, rzecz jasna, opiekunów ze strony UB, którzy mówili mu, gdzie i co ma mówić, ale również uczyli go, jak przemawiać i odpowiednio się zachowywać na salonach partyjnych i państwowych. Stwierdzili oni, że mówiąc, zbyt szybko sepleni i postanowili zrobić mu porządek z zębami. Wyrываяc chory ząb nie zbadano, że pacjent jest chory na hemofilę, co spowodowało wykrwawienie się i Pstrowski niespodziewanie zmarł. Główny symbol pracy i komunizmu nagle zniknął.

Manifestacyjny pogrzeb państwowy odbył się w Zabrze i ja również byłem na tym pogrzebie. Kiedy po wielu przemówieniach miało trumnę opuścić do grobu, czerwoną flagę, którą była owinięta trumna, podniósł górnika przodowy Bernard Bógdoł z Lipin i oświadczył: – *Wincent! Tyś zaczął współzawodnictwo, a teraz po Twym odejściu my z bratem będziemy Twoje dzieło kontynuować* – i kilka minut machał czerwoną flagą nad trumną. Propaganda komunistyczna – radio i prasa ogłosiły, że współzawodnictwo pracy będzie kontynuowane, a nowy bohater współzawodnictwa pracy Bernard Bógdoł został wkrótce mianowany dyrektorem kopalni „Wujek”.

Po śmierci Pstrowskiego wśród ludku śląskiego powstało wiele złośliwych wierszyków i „przykazań”, jak na przykład: *Pracuj jak Wincenty Pstrowski, szybko trafisz na Sąd Boski*, a na grobowcu ktoś napisał:

*Tu leży Pstrowski niebogi,
co wyciągnął normę i nogi,
ale zostały dwa woły
bracia Bógdoły.*

Oczywiście szukano autora tego napisu, ale o ile wiem, nigdy go nie znaleziono.

Po odejściu z kopalni Pstrowskiego, praca toczyła się swym codziennym spokojnym rytmem do 1947 roku, kiedy tąpnięcie zawało połowę mojego oddziału, a ja wraz z kilkoma górnikaми znalazłem się pod zawalonym węglem. Życie uratował mi rurociąg podsadzkowy o grubości 30 centymetrów, który zasłonił mnie przed spadającymi większymi bryłami węgla. Po odzyskaniu przytomności, po dwóch dniach, zdołałem sam wygrzebać się spod zawału, lecz nie wyjechałem na powierzchnię, tylko z ratownikami prowadziłem akcję wyciągania spod zwałów węgla kilku moich zasypanych górników. Przez 5 dni byłem na dole, w tym 2 dni pod zawałem, a przez 3 dni ratowałem swoich górników. Nikt nie zginął, wszyscy zostali uratowani, tylko nieco okaleczeni.

Wypadek ten w 1947 roku odbił się szerokim echem w całym kraju, szeroko opisywała go prasa. Mój ojciec po wielu latach pokazywał mi zachowaną gazetę, w której barwnie pisano o tym, jak to sztygar, syn małorolnego chłopa z Gorlic, przez 5 dni ratował siebie i swoich górników. Tym wypadkiem wkupiłem się w Śląską Rodzinę Górniczą i zdobyłem pierwszą sławę nie tylko na Śląsku, ale w całym kraju.

Po tym wypadku otrzymałem dwa tygodnie urlopu i pojechałem do domu do Gorlic. Rodzice z radia i z gazet już wiedzieli o wszystkim i po poważnej rozmowie ojciec zdecydował, że na Śląsk już nie wracam. Ja się z nim zgodziłem i napisałem do Zjednoczenia Węglowego, że kończę z zawodem górniczym. Po pewnym czasie otrzymałem pismo ze Zjednoczenia, że przyznano mi Złoty Krzyż Zasługi i proszą o przyjazd do Zabrza na uroczystą dekorację. Ojciec Emil zdecydował, że mogę w Gorlicach dobrze żyć bez Krzyża Zasługi i z odbioru odznaczenia zrezygnowałem. Po kilku dniach do Gorlic przyjechał Naczelny Dyrektor Zjednoczenia mgr inż. Karol Fabris (późniejszy wiceminister) na poważną rozmowę. Kiedy ojciec zdecydowanie odpowiedział: NIE, dyrektor Fabris zaapytał, co syn będzie robił w Gorlicach. Ojciec odpowiedział, że będę się szkolił na inżyniera naftowca. Wtedy padła propozycja, że Zjednoczenie oddeleguje

mnie na studia magisterskie na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, na następujących warunkach:

- delegacja pełnopłatna,
- kwatera w Krakowie na koszt Zjednoczenia Węglowego,
- wyżywienie w stołówce akademickiej na koszt Zjednoczenia.



Pod ziemią na kopalni „Ludwik”. 1947 rok.

Propozycja była tak atrakcyjna, że ojciec się zgodził, ale miałem dodatkowo studiować górnictwo naftowe. Ojciec był zawsze praktyczny i sprytny. Sądził, że inżynier naftowiec zawsze znajdzie pracę w Gorlicach, Jaśle lub Krośnie, czyli blisko domu.

Po trzech dniach zameldowałem się u Rektora AGH w Krakowie dr inż. Walerego Göethla, który pamiętał mnie ze szkoły podczas okupacji i oświadczył mi, że zobowiązał się być w Krakowie moim opiekunem. Muszę przyznać, że miałem fantastyczne warunki do nauki. Opłacono mi kwaterę (piękny pokój przy ulicy Kanonicznej), wyżywienie i jeszcze otrzymywałem normalną pensję. Studia magisterskie i obrona pracy dyplomowej zabrały 2,5 roku. Przyszedł czas decyzji, co robić dalej?

O wypadku górnictwem na Podkarpaciu w szybkim tempie bankrutowało, ponieważ ropę naftową i gaz ziemny otrzymywaliśmy po niskiej cenie ze Związku Radzieckiego. Razem z ojcem zdecydowaliśmy, że powinienem wrócić do pracy

na Śląsk. Do kopalni „Ludwik” już nie wróciłem, przeniesiono mnie do kopalni „Mikulczyce”, awansując na nadsztygara i kierownika planowania. Do dyspozycji otrzymałem wielopokojową willę jako służbowe mieszkanie. Po roku awansowałem na kierownika i zawiadowcę (naczelnego inżyniera) kopalni „Mikulczyce”.

Polubiłem górnictwo węglowe. Pracowało mi się bardzo dobrze i na życzenie ojca ściągnąłem do Mikulczyc brata Jaśka, który najpierw pracował w kopalni, a potem oddelegowałem go do Szkoły Górniczej, gdzie został zastępcą dyrektora do tak zwanych praktyk górniczych. Jasiek dopracował na tym stanowisku do emerytury. W międzyczasie zaocznie studiował i został magistrem ekonomii górniczej.

Ja w tym czasie przeszedłem dodatkowe szkolenia w górnictwie na Węgrzech, w Czechosłowacji i z ówczesnym wiceministrem Mitręgą, półroczne szkolenie w Związku Radzieckim. Po powrocie z ZSRR zostałem Dyrektorem kopalni „Concordia” w Zabrze.

Kopalnia „Wujek”

Po wykreowaniu Bógdoła na nowego bohatera pracy socjalistycznej, propagandiści partyjni postanowili pokazać, że jeśli się ma właściwe komunistyczne przekonania i głębokie zaangażowanie w sprawy kraju, to nawet bez wykształcenia można być dyrektorem kopalni. W ten sposób prosty górnik przodowy Bernard Bógdoł został dyrektorem kopalni „Wujek”. Oczywiście skutki tej nominacji były fatalne. W krótkim czasie kopalnia została doprowadzona do ruiny finansowej i technicznej, przestała wykonywać plan produkcyjny, a co gorsze dramatycznie wzrosła w niej ilość wypadków, w tym śmiertelnych. Władze partyjne i państwowe wreszcie zrozumiały, że kopalnią nie może kierować zwykły robotnik i postanowili zwolnić go z tego stanowiska. Decyzję przyspieszyło zdarzenie śmieszne a zarazem straszne, które teraz opiszę.

W tamtym czasie każda kopalnia pracowała od poniedziałku do soboty, plus jedna niedziela w miesiącu. Jeżeli kopalnia nie wykonywała planu produkcyjnego, to musiała go nadrobić pracując dwie a nawet trzy niedziele w miesiącu. Generalną zasadą było, aby górnicy mieli **jedną wolną niedzielę** w miesiącu. Dziś trudno uwierzyć, że górnicy byli tak wykorzystywani, ale

prawda jest taka, że w tym czasie eksport węgla wynosił 42 milionów ton rocznie, co przy cenie 28 dolarów za tonę dawało Polsce Ludowej grubo ponad jeden miliard dolarów amerykańskich, co stanowiło około 40% całego polskiego eksportu. Dla porównania, w szczytowych latach PRL-u, w końcu lat siedemdziesiątych wydobycie roczne sięgało 200 milionów ton i ciągle było mało, a obecnie wynosi około 80 milionów ton i jest go za dużo. Główny tego powód to nowoczesne, mniej energochłonne technologie i likwidacja komunistycznego marnotrawstwa.

W taką niedzielę produkcyjną dyrektor Bógdoł zamówił u malarza swój portret. Miał on być później powiększony do wymiarów 10 × 5 metrów i wisieć na centralnym placu im. Dzierżyńskiego w Katowicach. Aby dobrze wypaść, pożyczył z kościoła na Załęskiej Hałdzie fotel-tron biskupi, ubrał się w galowy mundur górniczy z kilogramami medali na piersi, z tyłu miał rozwieszone białe prześcieradło, a w ręku akordeon. Tak przystrojony pozował malarzowi w swym dyrektorskim gabinecie. Aby nie przeszkadzano artyście w pracy, surowo przykazał sekretarce, aby przez czas pracy malarza absolutnie nikogo nie wpuszczała do gabinetu i nie łączyła telefonów. Nie wykonanie tego rozkazu groziło wyrzuceniem z pracy, a sekretarka była tuż przed emeryturą. Pech chciał, że na kopalni „Wujek” tąpnęło, zawalił się chodnik i zginęło dwóch górników. Sekretarka nie przekazała tej wiadomości dyrektorowi i nawet nie wpuściła do niego naczelnego inżyniera kopalni. Ten zawiadomił o wszystkim Zjednoczenie i Wojewódzkiego Sekretarza PZPR. Natychmiast przyjechali wiceminister Mitręga i I Sekretarz Olszewski. Chcą wejść do biura dyrektora, ale sekretarka stanęła w drzwiach: – *Nie wpuszczę, bo stracę pracę!* Mitręga – potężny chłop brutalnie odepchnął sekretarkę i otworzył drzwi. Wszyscy osłupieli. Dyrektor kopalni Bernard Bógdoł robi sobie portret na tronie biskupim, a tam pod ziemią leży zasypanych dwóch górników. Dech im zaparło i oniemieli. Bez słowa zamknęli drzwi i odjechali. Tego samego dnia zwołano egzekutywę partyjną, która podjęła uchwałę, by po cichu dyrektora Bógdoła odwołać i wysłać go na leczenie sanatoryjne. Ministra Górnictwa zobowiązano do wyszukania najzdolniejszego, kompetentnego, młodego inżyniera. Wybrano mnie. Dnia 19 marca 1955 roku zostałem dyrektorem kopalni węgla „Wujek”.

Bardzo obawiałem się tej nominacji. Była to wówczas najgorsza kopalnia węgla w Polsce. Od kilku lat nie wykonywała planu produkcji i co miesiąc ginęło w niej w wypadkach kilku górników. Kopalnię przekazał mi dyrektor – robotnik Bernard Bógdoł, sławny przodownik pracy. Cały górniczy Śląsk oczekiwał co

zrobi nowy młody dyrektor kopalni „Wujek”, jak pisały gazety „syn małorolnego chłopca z Gorlic”. Wziąłem się ostro do pracy. Codziennie o godzinie 5.30 przeprowadzałem odprawę ze sztygarami i oficerami wojskowymi. Zjazd na dół rozpoczynał się o godzinie 6.00. Potem robiłem obchód wyrobisk dołowych, aby przekonać się osobiście jaki jest stan techniczny kopalni i organizacja pracy. Doba była za krótka, a tu jeszcze dojazdy z Zabrze, gdzie miałem mieszkanie przy ulicy Roosvelta, do pracy w Katowicach i powroty do Zabrze, zabierały mi dziennie od dwóch do trzech godzin. Postawiłem więc w sekretariacie łóżko polowe do spania, a do Zabrze jeździłem tylko na niedzielę, by się porządnie wykąpać i zmienić bieliznę.

Opracowanie planu naprawczego zabrało mi dwa tygodnie. W marcu 1955 roku Kopalnia wydobywała codziennie około 3.000 ton węgla, a plan był 3.200 ton. Kopalnia zatrudniała 350 prawdziwych, cywilnych górników oraz 2500 górników-żołnierzy (!), którymi dowodził pułkownik Starak, przedwojenny oficer sztabowy, a takich w Ludowym Wojsku Polskim nie lubili. Ocenilem, że to ci przymusowi, źle wyszkoleni i praktycznie nie opłacani górnicy-żołnierze ciągną całą kopalnię w dół. Postanowiłem ściągnąć do kopalni jak najwięcej górników cywilnych. Wiedziałem, że przyjdą, gdy Kopalnia zacznie dobrze płacić. Łamiąc wszystkie obowiązujące przepisy, zwiększyłem płace o 50%. Efekt był taki, że po sześciu tygodniach przyjąłem do pracy 300 nowych górników.

Po pierwszym miesiącu mojego dyrektorowania, przyjechał na kontrolę kopalni I-szy Zastępca Ministra Górnictwa mgr inż. Franciszek Jopek odpowiedzialny w ministerstwie za produkcję węgla w Polsce. Przyjechał z dyrektorami departamentów górniczego, energomaszynowego, planowania i oczywiście departamentu socjalnego. Pomocnicy panów dyrektorów nieśli mapy górnicze i stosy innych dokumentów geologiczno-produkcyjnych.

Narada miała następujący przebieg:

- | | |
|---------|---|
| Wszółek | – <i>Obywatelu ministrze melduję Kopalnię gotową do narady.</i> |
| Jopek | – <i>Panie dyrektorze plan dzienny wydobywania wynosi?</i> |
| Wszółek | – <i>3.200 ton na dzień.</i> |
| Jopek | – <i>Proszę o procent wykonania planu.</i> |
| Wszółek | – <i>106% planu.</i> |
| Jopek | – <i>Kolego Wszółek, ja jestem starszym inżynierem od was i proszę nie żartować. Wiadomo, że od trzech lat kopalnia „Wujek” nie wykonuje planu. Proszę podać procent wykonania planu.</i> |

Wszólek – *Panie Ministrze odpowiadam odpowiedzialnie: 106% wykonania planu.*

Jopek zwraca się do Dyrektora Departamentu Górnictwa:

Jopek – *Co to znaczy?*

dyr. Mirosław – *Dyrektor Wszólek mówi prawdę. On już plan wykonuje!*

Jopek – *To wobec tego po co my tu przyjechali?*

Wszólek – *Ja jako dyrektor kopalni również jestem zdziwiony, że Minister przywozi receptę jak wydobywać węgiel na kopalni, co jest obowiązkiem dyrektora a nie ministra, który powinien zajmować się problemami całej branży, a nie jednej z sześćdziesięciu kopalń.*

Impulsywny wiceminister Jopek krzyknął do swoich dyrektorów i urzędników: – *Panowie wracamy do Ministerstwa!* – i bez podania ręki wyszedł. Wszyscy wsiedli do samochodów i odjechali.

Po wyjściu gości z ministerstwa pozostaliśmy na sali konferencyjnej: sztygarzy, nadsztygarzy, kierownicy, oczywiście I Sekretarz Partii i Przewodniczący Rady Zakładowej i nastąpiła cisza. Zabrał głos I Sekretarz, który powiedział: – *Panie Dyrektorze, zadart Pan z najważniejszym ministrem od produkcji. Teraz jedyne wyjście to przekraczać dalej plan!*

Kilka tygodni później, 1-go maja 1955 roku zebrani w prezydium i na trasie przemarszu pochodu, ze zdziwieniem oklaskiwali „Wujka” maszerującego na czele pochodu. „Wujka”, który jeszcze niedawno szedł jako ostatni. Teraz był najlepszą w Polsce Kopalnią Węgla Kamiennego. Na czele kopalni wykonującej 110% normy, w galowym mundurze, ze szpadą, maszerowałem ja, najmłodszy dyrektor kopalni w Polsce, mgr inż. Franciszek Wszólek.

Do najlepszej kopalni zaczęli napływać nowi górnicy. Ale nowi górnicy i inżynierowie muszą gdzieś mieszkać! Założyłem więc Spółdzielnię Mieszkaniową „Górnik”, w której byłem członkiem numer 1 i pierwszym prezesem. Ale aby budować domy potrzebna jest cegła. Za płotem kopalni była nieczynna, zdevastowana prywatna cegielnia pana Badury, którą bezprawnie uruchomiłem i wkrótce produkowałem 35 tysięcy sztuk cegły dziennie, to znaczy tyle, że każdego dnia można było wybudować jeden domek jednorodzinny. Spółdzielnia Mieszkaniowa „Górnik” istnieje do dzisiaj i posiada 50 tysięcy mieszkań. Z cegły tej cegielni, brat Janek zbudował swój domek na Wszólkówce w Gorlicach, a w mych rodzinnych Zagórzanach wybudowano nową szkołę. Do dziś wisi tam tablica, że cegła na szkołę to dar górników z „Wujka”.

Reasumując, CO ZROBIŁEM:

1. Kopalnia po miesiącu mojego dyrektorowania wykonała plan 3.200 ton węgla na dobę.
2. Gdy po pięciu latach odchodziłem z kopalni, produkcja wynosiła 8 tysięcy ton na dobę.
3. W ciągu pięciu lat zbudowałem tysiąc dwieście nowych mieszkań i osiedle domków jednorodzinnych dla kadry kierowniczej (w jednym z nich mieszkam do dzisiaj).
4. Zmodernizowałem technicznie całą kopalnię i zbudowałem według mojego patentu pierwszą w górnictwie Dyspozytornię Górniczą, którą potem podziwiali de Gaulle, Chruszczow, Gagarin i wielu, wielu prominentów Europy. Kopalnia „Wujek” stała się wizytówką polskiego górnictwa węglowego i wszyscy ważniejsi goście byli do niej kierowani do podziwiania.
5. Wojsko w kopalni zlikwidowałem, a na terenie barakowych koszar zbudowałem Osiedle Górnicze.
6. Dla załogi kupiłem w Zakopanem dom wczasowy „Anna Maria” na 80 miejsc, z którego „Wujek” korzysta do dziś.
7. Na targach w Poznaniu kupiłem supernowoczesny autobus, którym woziliśmy górników na wczasy do Zakopanego, a nawet do Włoch.
8. Zbudowałem Przychodnię Zdrowia, która zyskała sławę podczas ratowania postrzelanych górników w grudniu 1981 roku.
9. Dla dzieci górników zbudowałem przedszkole zlokalizowane obok mojego domu.
10. Dla górników zbudowałem nowoczesną łaźnię górniczą i Stację Ratownictwa Górniczego.
11. W 1956 roku wyremontowałem cechownię wraz z ołtarzem i sprowadziłem z powrotem do kopalni figurę św. Barbary. Wielotysięcznej uroczystości przewodniczył biskup, a partia i związki udawały, że o tym nie wiedzą i o tym nie słyszą, chociaż gazety o tym wspomniały. Do dzisiaj co roku składam kwiaty przed figurą św. Barbary. W 2006 roku zrobiłem to z wicepremierem Lepperem, który był gościem górników kopalni „Wujek”.

CZEGO NIE ZROBIŁEM:

1. Odchodząc, moje biuro zostawiłem takie samo, jakie zastałem w 1955 roku. Nawet mebli nie zmieniłem.

2. Nie zmieniałem sekretarek (jedna 30 lat, druga 60).
3. Nie zmieniałem w ciągu pięciu lat samochodu. Zawsze była to „Warszawa”.
4. Nie wtrącałem się do działalności organizacji partyjnej i organizacji związkowej. Ja im nie przeszkadzałem i oni mi nie przeszkadzali.
5. W ciągu pięciu lat dyrektorowania kopalni „Wujek” nikogo nie ukarałem i nie pozwoliłem ukarać przez Urząd Górniczy. Chciałem być i byłem wyrozumiałym ojcem moich górników.

Pochlebiam sobie, że sława najlepszej w Polsce kopalni „Wujek”, w znacznej części związana jest z moim w niej dyrektorowaniem.

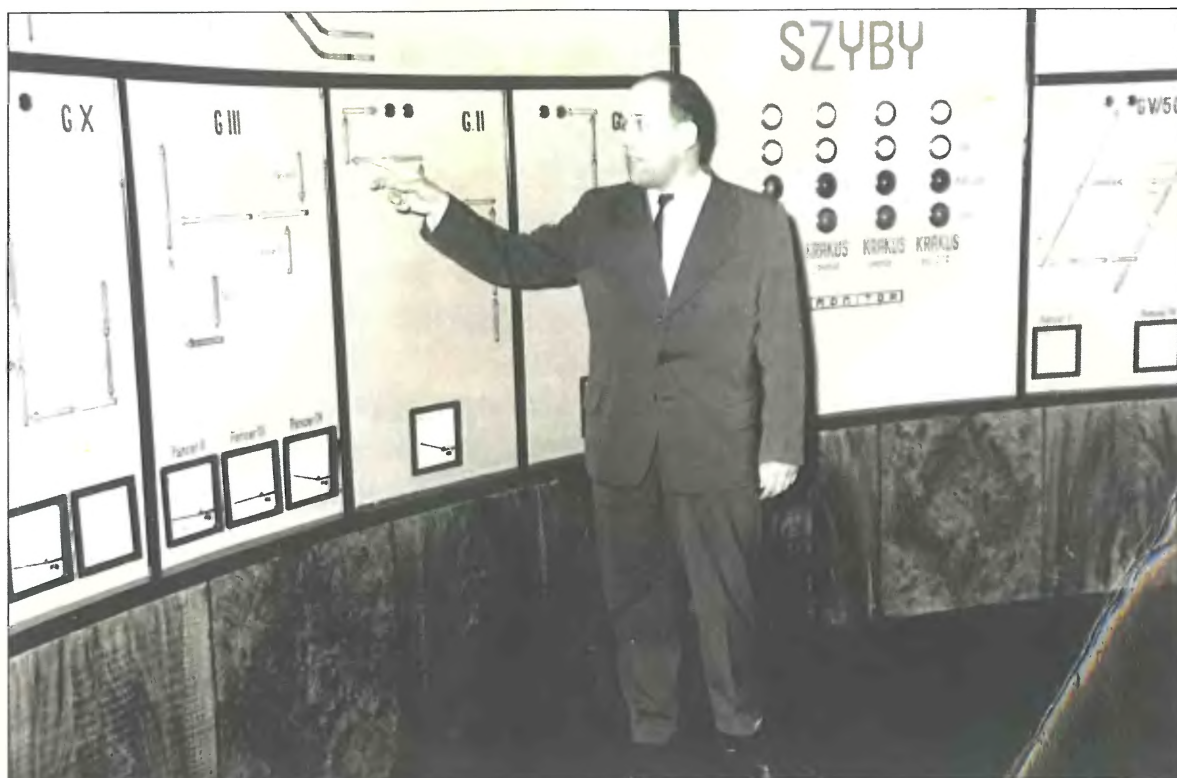
Dzisiaj po z górą czterdziestu latach moi górnicy, już emeryci i ich dzieci, w dzielnicy Katowice – Brynów, mówią o mnie: – NASZ DYREKTOR, NASZ MINISTER. Jestem dumny z tego słowa „nasz”, bo wiem, że w ten sposób stałem się prawdziwym Ślązakiem, ja „syn małego chłopca z Gorlic”.

Jak już wcześniej wspominałem, kopalnia „Wujek” była w tych latach wizytówką Śląska pod względem produkcji, ekonomiki i nowej technologii zarządzania. Zaś chlubą i dumą kopalni, a pośrednio i całego polskiego górnictwa, była zaprojektowana i zbudowana według mojego patentu, pierwsza w świecie dyspozytornia górnicza. Składała się ona z dwóch części:

- części łącznościowej, czyli stołu z umieszczonymi przełącznikami uruchamiającymi bezpośrednią łączność radiową z górnikiem, pracującym na dole kopalni oraz
- części tablicowej – pokazującej na wielkim schemacie kopalni, pracę szynów, pracę transportu i stan czujników bezpieczeństwa.

U schyłku lat pięćdziesiątych, gdy półprzewodniki w elektronice i technika telewizyjna dopiero u nas raczkowały, udało mi się pokonać trudności z propagacją fal radiowych pod ziemią, zastosować w praktyce technikę telewizyjną, która od tej pory nazywana jest telewizją przemysłową oraz zastosować w praktyce skuteczny system automatycznych czujników izotopowych, wykrywających stężenie w powietrzu niebezpiecznego metanu. Czujniki te, po zmierzeniu stężenia grożącego wybuchem, automatycznie wyłączały energię elektryczną na zagrożonym odcinku, by przypadkowa iskra nie spowodowała eksplozji. Pracę można było ponownie podjąć, gdy wentylacja przewietrzyła zagazowany pokład do dopuszczalnego poziomu, ale o tym decydował nie automat tylko dyspozytor, który obserwował wskazania wszystkich czujników i podejmował decyzję. Rozwiązanie to bardzo zwiększyło bezpieczeństwo pracy pod ziemią, a z czasem umożliwiło wydobywanie węgla na gazowych pokładach.

Dzisiaj nikt sobie nie wyobraża, aby można było prowadzić ruch kopalniany bez dyspozytorni, które są stale modernizowane i ulepszone, ale wówczas była to absolutna nowość, niespotykana nigdzie w świecie. Moja prototypowa dyspozytornia górnicza znajduje się dziś w Muzeum Górnictwa w Zabrze, a świadectwo patentowe wisi nad moim biurkiem w domu w Katowicach.



Fragment części tablicowej dyspozytorni.

Za mój patent „Dyspozytornia Górnicza” otrzymałem 10 tysięcy złotych, za które kupiłem sobie motocykl „Java”. Takie to były czasy; dzisiaj za taki patent mógłbym dobrze żyć, nie pracując zawodowo ja i moje dzieci.

Jak już wspominałem, władze Rządowe i Ministerstwa Górnictwa, przywoziły na kopalnię wszystkie oficjalne delegacje i tam chwaliły się nowoczesnością polskiego górnictwa. Gościliśmy na kopalni Anglików, Amerykanów, Chińczyków, Czechów, Niemców, Rumunów, a nawet Australijczyków, którzy oglądali, chwalili, a potem na wzór tej z kopalni „Wujek”, budowali podobne dyspozytornie u siebie.

Szczególnie wryła się w pamięć, wizyta I-szego Sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikity Sergiejewicza Chruszczowa. Centralnym punktem wizyty na kopalni, była oczywiście dyspozytornia górnicza. Wszystko

odbywało się w obecności Gomułki, Gierka, Mitręgi i wielu innych VIP-ów z Polski i ZSRR. Jako gospodarz, oprowadzałem dostojnego gościa po dyspozytorni, opowiadałem mu po rosyjsku o jej funkcjonowaniu, a w końcu posadziłem go na fotelu dyspozytora. Chruszczow słuchał mnie uważnie, zadawał wiele ciekawych pytań, świadczących o zrozumieniu tematu. Gdy opisywałem działanie krótkofalówki, gwałtownie przerwał mi i zapytał, czy może bezpośrednio przez radio porozmawiać z górnikami na dole. Odpowiedziałem *Pażausta!* i podałem mu mikrofon.

Wśród zebranych nastąpiła konsternacja. W programie wizyty NIE BYŁO bezpośredniej rozmowy z górnikami.

Chruszczow chwycił mikrofon i krzyczy po rosyjsku:

— *Zdzieś Nikita Siergiejewicz Chruszczow. Ja pozdrawlajaju was szachtiori w nizu!!! (Tu Nikita Siergiejewicz Chruszczow. Pozdrawiam górników na dole!)*

Emocje zebranych sięgały zenitu, bo nikt nie mógł przewidzieć, kto odpowie i co powie, znanemu z nieokiełznanego temperamentu gościowi. Ochroniarze polscy i rosyjscy, Gomułka, Gierek, na zmianę bledli i czerwienieli, bo konsekwencje tego incydentu mogły być bardzo przykre. Tymczasem, po chwili odezwał się maszynista elektrowozu na poziomie 620 metrów pod ziemią i pięknym rosyjskim językiem odpowiedział:

— *Pozdrawiamy was Pierwszy Sekretarzu Nikito Siergiejewiczu Chruszczow i życzymy miłego pobytu w Polsce i na Śląsku.*

I wywiązał się następujący dialog:

Chruszczow — *Gdzie jesteś?*

Wszótek — *pokazuję mu na ekranie czerwone światełko lokalizujące, gdzie jest maszynista.*

Chruszczow — *A skąd ty tak dobrze znasz język rosyjski?*

Górnik — *Byłem 6 lat w niewoli na Syberii.*

Chruszczow — *Jako kto???*

Górnik — *Byłem w Wehrmachcie!*

Chruszczow — *A ty Niemiec, czy Polak?*

Górnik — *Ja Polak!*

Chruszczow — *To dlaczego ty byłeś w Wehrmachcie?*

Górnik — *Bo ja jestem Ślązak z Katowic!*

Chruszczow — *Śląsk i Katowice to przecież POLSKA!*

Górnik — *Setki i tysiące Ślązaków było w Wehrmachcie i walczyliśmy z Armią Czerwoną!!!*

Chruszczow — *Ja jestem w Katowicach. Pytam się czy ja jestem w Polsce, czy w Niemczech???*

I w tym momencie dosłownie wybuchła BOMBA! Gomułka, Gierek, Mitręga i pozostali polscy „oficjele” zaczęli gwałtownie na raz tłumaczyć Chruszczowowi, że Ślązacy służący w Wermachcie to była normalność! Chruszczow się dosłownie wściekł.

— *Co wy mi tu opowiadacie za bzdury! Kto to jest Polak, to ja wiem. Kto jest Niemiec to ja wiem. Ale Polak w Wermachcie, to ja tego NIE PANIMAJU!!! (nie rozumiem!)*

W tym momencie włączył się do dyskusji górnik maszynista z dołu i mówi:

— *Towarzyszu Siergiejewiczu Chruszczow! Ja jestem członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i JESTEM KOMUNISTĄ!*

Chruszczow rąbnął białym kapeluszem o podłogę i ryknął:

— *JA NICZEWO NIE PONIAŁ!!! (niczego nie zrozumiałem!)*

W tym momencie Gierek szarpnął mnie za rękaw i zgrzytnął mi do ucha:

— *Franek ratuj sprawę! Tyś jest gospodarz!!!*

Otworzyłem szybko drzwi do mojego dyrektorskiego biura i mówię do Chruszczowa:

— *To taka skomplikowana sprawa, że biez wodki nie razbierioż! (bez wódki nie zrozumiesz)*

Chruszczow odpowiedział:

— *Prawilno i wszedł do gabinetu. A tam były przygotowane podarunki dla dostojnego gościa:*

— *Gomułka od Narodu Polskiego dał paterę z orłem bez korony (wypiliśmy po stakanie koniaku).*

— *Gierek od Śląska dał obraz tańczącej w stroju śląskim dziewczyny (wypiliśmy po stakanie koniaku).*

— *Mitręga od górników dał rzeźbę z węgla (wypiliśmy po stakanie koniaku).*

— *Wszotek od górników „Wujka” dał lampkę górniczą (wypiliśmy po stakanie koniaku).*

Po w sumie prawie dwóch szklankach koniaku, Chruszczow zapomniał o problemie Ślązaków w Wermachcie. Potem udaliśmy się wszyscy na Wielki Wiec Przyjaźni na Placu Dzierżyńskiego w Katowicach. Ale mój pocziwy Chruszczow po tym poczęstunku miał kłopoty z chodzeniem i idąc, mocno trzymał mnie pod rękę. Wszyscy zebrani na placu odebrali to jako wyraźną manifestację *druźby* z polskimi górnikami.

Miesiąc po wizycie dostojnego gościa w kopalni, otrzymałem zaproszenie na Dzień Górnika do Moskwy, gdzie jako honorowy gość z Polski otrzymałem Order Górnicza Sława.



Nikita Chruszczow na dyspozytorni w „Wujku”.

W pierwszym szeregu od lewej: Moczar, Wszółek, Mitręga, Chruszczow, Gomułka, Gierek.

Kilka tygodni po wizycie Chruszczowa, przybył na kopalnię Dowódca Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, marszałek Woroszyłow. Władysław Gomułka wręczył mu w imieniu Polski pełną dokumentację dyspozytorni, bowiem marszałek postanowił budować takie dyspozytornie dla potrzeb Armii Czerwonej. W czasie tej wizyty, marszałek Związku Radzieckiego i Bohater Związku Radzieckiego, otrzymał tytuł Honorowego Górnika „Wujka”. Nikt z nas wówczas nie wiedział, że ten sam marszałek Woroszyłow dwadzieścia lat wcześniej, podpisał się obok Stalina na rozkazie rozstrzelania polskich oficerów w Katyniu. Nie wiedzieli o tym również górnicy z „Wujka”, którzy dwadzieścia lat później, 16 grudnia 1981 roku, tak dzielnie walczyli z komuną na terenie swojej kopalni.

Kilka dni po wizycie gości z Armii Czerwonej, na kopalnię przyjechał kompletny Sztab Generalny Wojska Polskiego (kilkudziesięciu generałów), z późniejszym Marszałkiem Polski, Marianem Spychalskim, bo już z Moskwy otrzymali

rozkaz budowania w naszym wojsku dyspozytorni wojskowych, na wzór tej górniczej w „Wujku”.



Sztab Ludowego Wojska Polskiego na dyspozytorni w „Wujku”. Piąty od lewej generał Spychalski, późniejszy Marszałek Polski.

Wśród wielu gości, którzy odwiedzili moją kopalnię, zapadła mi również w pamięć ta, która się ... nie odbyła.

Gdy zapadła decyzja, że do Polski przyjedzie Prezydent Francji, bohater II Wojny Światowej generał Charles de Gaulle i w czasie swej wizyty odwiedzi Śląsk, było oczywiste, że odwiedzi również Kopalnię „Wujek”. W Katowicach powołano specjalny komitet organizacyjny partyjno-państwowy i ja zostałem również jego członkiem. Odbyło się kilkanaście narad Komitetu i na każdym posiedzeniu zmienialiśmy program wizyty. Początkowo głównym punktem programu były Katowice, ale po konsultacji z Ambasadą Francji w Warszawie, główne przemówienie przeniesiono do Zabrze i tym samym projektowana wizyta w kopalni „Wujek” odpadła. Pomimo tego mnie, dyrektora kopalni, z Komitetu nie wykluczono i dostałem nowe zadanie: zorganizowanie noclegu Generała w Katowicach, w willi reprezentacyjnej Ministerstwa Górnictwa

i Energetyki przy obecnym placu Korfantego. Dokładnie pamiętam, że przez trzy dni był robiony „mały remont” willi, czyli malowanie, wymiana wykładzin, remont kuchni, wszystko pod ścisłym nadzorem oficerów Urzędu Bezpieczeństwa. Dużo pracowano nad oświetleniem i wykonywały to jakieś specjalne grupy z Warszawy – krążyły plotki, że cały dom naszpikowano „pluskwami”. W każdym razie, od tej chwili, w willi już nigdy nie było oficjalnych przyjęć i libacji, a lokowano tam liczne delegacje radzieckie lub z krajów „demoludów”.

Po umeblowaniu willi nowymi meblami zaprosiłem Ambasadę Francji na kontrolę obiektu. Ambasador oświadczył, że kontroli dokonają oficerowie ochrony prezydenta z Paryża i tak się stało. Grupa oficerów przyjechała wraz z generałem i wieczorem kontrolowali willę. Następnego dnia rano de Gaulle miał w niej spędzić dwie godziny i wieczorem przyjechać na nocleg. Oficerom wszystko się podobało, ale gdy weszli do sypialni zmierz yli łóżko. Miało 210 centymetrów a generałowi potrzebne było łóżko o długości minimum 240 centymetrów. Jest wieczór – do rana łóżko musi być wymienione. Oficerowie UB ściągnęli w trybie awaryjnym samochodami na sygnale wszystkich kierowników sklepów meblowych, ale łóżka o długości 240 centymetrów nie znaleźli. Ja byłem odpowiedzialny za nocleg i UB mnie nastraszyło, że jak do rana nie znajdę właściwego łóżka, to mnie zamkną. Załamany pojechałem do biura w kopalni „Wujek” i wezwałem do siebie kierownika stolarni. Ten od razu wziął się do roboty. W tym samym czasie żona stolarza i jej sąsiadki wydłużały materac do nowych wymiarów i szyły nowe prześcieradło i pierzynę. O 6:00 rano nowe łóżko rozmiar 240 było gotowe. W ten to sposób mój stolarz, jego żona i sąsiadki uratowały honor Polski Ludowej i ... moją głowę. Wszyscy oni dostali ode mnie wysokie nagrody, za które, jak mówiono, można było kupić 10 łóżek po 240 cm, ale niech tam! Zasłużyli!

Wizyta generała de Gaulle na Śląsku miała doniosłe znaczenie polityczne. Na wiecu w Zabrze powiedział on słynne słowa: (...) *Niech żyje Zabrze – najbardziej polskie i najbardziej śląskie miasto górnicze!* W czasie, gdy polska granica na Odrze i Nysie nie była jeszcze uznawana przez Niemców Zachodnich i inne kraje, pobyt Generała, jego serdeczne przyjęcie i wypowiedziane słowa miały wielkie znaczenie i były długo komentowane na całym świecie.

Wyjeżdżając z Województwa Śląskiego, Generał odwiedził karczmę śląską w Nowym Bieruniu przy rzece Wiśła, w której przed laty, w 1921 roku, miał kwatery wówczas kapitan de Gaulle, przysłany przez Rząd Francji do obserwowania plebiscytu, decydującego o przynależności terenów Śląska do Polski lub Niemiec.

Generał odwiedził swój pokój oficerski na pięterku, gdzie spotkał kelnerkę, która go karmiła w czasie plebiscytu. I tu było pewne zaskoczenie: de Gaulle wspominał ładną śląską dziewczynę, a tu zjawiała się gruba baba w śląskim stroju, ale zaskoczyła go mówiąc do niego łamaną francuszczyzną.

Pożegnanie Generała de Gaulle odbyło się przy moście na rzece Wisła, a ja, stojąc w szeregu VIP-ów, uściśnąłem dłoń dostojnego gościa.

Dzisiaj karczma jest zmodernizowana i posiada oficjalną nazwę „Degolówka”, a liczne wycieczki jadące do Muzeum Auschwitz zajądają tu śląski żur, roladę i modrą kapustę, oczywiście przy śląskim piwie „Tyskie”. Teraz jest to lokal prywatny, ale pokój Charlesa de Gaulle jest traktowany jako muzeum: jest łóżko, stół i dużo fotografii Generała z dedykacją.

W późniejszych latach, gdy piastowałem kolejne wysokie stanowiska, dobra sława dyspozytorni z „Wujka” szła za mną i pomagała w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, o profesjach najdalej odległych od spraw kopalnianych. Tak było na przykład w czasie wizyty w Polsce i na Śląsku pierwszego kosmonauty świata Jurija Gagarina.

Wizyta ta miała rangę uroczystości państwowej, a przygotowania do niej były cyrkiem nieporównywalnie większym niż przygotowania do wizyty jakiegokolwiek głowy państwa. Organizatorzy powitania Gagarina na Śląsku zaprosili mnie na tę uroczystość i zaliczyli do grona VIP-ów. Jechaliśmy odkrytymi samochodami naokoło Śląska i Zagłębia, od Gliwic, Zabrze, Dąbrowy Górniczej, Sosnowca, razem około 100 kilometrów, a w każdym mieście tłumy, tysiące, tysiące ludzi wiwatowało na cześć pierwszego kosmonauty.

Muszę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że sympatia Polaków do Gagarina była prawdziwa i spontaniczna, a nie partyjnie wymuszona i zorganizowana. Sam Gagarin był człowiekiem skromnym i tymi tłumami witającymi go, był zaskoczony. Po całodniowej manifestacji zorganizowano przyjęcie na 100 osób, na którym również się znalazłem. Gomułka zaprosił mnie do stołu prezydenckiego i przedstawił Gagarinowi. Poinformował go, że jestem wynalazcą pierwszej na świecie dyspozytorni górniczej, którą chlubi się całe polskie górnictwo. Gagarina zainteresowała dyspozytornia i poprosił abym mu o niej opowiedział, co to, takiego jest. Początkowo oponowałem, nie chcąc zajmować czasu wyjątkowemu gościowi, ale on powiedział: – *Ja Gagarin wiem co jest w kosmosie, bo tam byłem, a Ty jesteś kosmonautą pod ziemią!* Usiedliśmy przy bocznym stoliku i opowiadałem mu o pracy górników pod ziemią i o znaczeniu dla nich dyspozytorni. Pod koniec rozmowy zaproponował:

– *Mówmy sobie po imieniu: Jurij – Franek* – i w obecności wszystkich VIP-ów wypiliśmy bruderschafta.

Miałem też przyjemność spotkania i trzeciego radzieckiego kosmonauty, podczas delegacji w Moskwie na Święto *Szachtiora* (górnika), które w ZSRR było obchodzone 25 sierpnia. Reprezentowałem tam polskie górnictwo węglowe. Uroczysta akademicka odbywała się w Domu Związkowca, czyli w *Domu Profssojuza*, który pomieścił tysiąc górników z całego Związku Radzieckiego. Jako przedstawiciel polskiego górnictwa byłem zaproszony do Prezydium, a towarzyszył mi polski ambasador z Moskwy. Członkowie Prezydium byli zaproszeni do specjalnej sali, gdzie na stołach była, a jakże, wódka i zakąski. Ja oczywiście byłem w galowym mundurze górniczym, co wzbudziło powszechne zainteresowanie, bo w Związku Radzieckim górnicy nie mają mundurów.



Jurij Gagarin w Katowicach. Od lewej: Wszółek, Gagarin, Mitrega, Szydłak.

W trakcie spotkania podszedł do mnie oficer w mundurze, podał mi rękę i głośno przedstawił się: – *Nikołajew!* Odpowiedziałem: – *Wszótek.* Na to on podniesionym głosem powtórzył: – *Nikołajew!* Wtedy ambasador szepnął mi do ucha: – *To kosmonauta!* Aby uratować niezręczną sytuację przeprosiłem go, że nie poznałem kosmonauty i poza podaniem ręki uścisnęliśmy się według wzoru Breżniewa. Po tej części oficjalnej, Nikołajew wziął mnie na stronę i powiedział: – *Jest nas tu dwóch w mundurach: ty polski górnik i ja radziecki kosmonauta. Musimy to oblać!* I nalał mi *stakan* wódki. Po wypiciu pierwszego, trzeba było wypić na drugą – nogę drugi *stakan* wódki. Całe szczęście, że zadzwonił dzwonek, wzywający do zajmowania miejsc za stołem prezydialnym. W sierpniu w Moskwie jest bardzo gorąco, a w dodatku mój czarny mundur, który grzał jak piecyk i wypita szklanka wódki spowodowały, że szybko byłem na niezłym gazie, a tu poproszono mnie do wygłoszenia pozdrowienia od polskich górników. Co mówiłem, to dzisiaj nie pamiętam, ale po każdym zdaniu były wielkie brawa. Ambasador twierdził, że było to moje najlepsze przemówienie w języku rosyjskim i zostało bardzo dobrze odebrane przez zebranych radzieckich górników. Kto wie, może tak należy przygotowywać się do przemawiania w Rosji?

To spotkanie z górnikami w Moskwie miało też i taki skutek, że zauważyłem tam siłę naszego górniczego munduru. Od tej pory gdy miałem gdzieś występować lub coś załatwić, zawsze występowałem w górniczym mundurze i czynię tak do dziś. Ten czarny mundur ze srebrnymi guzikami i złotymi naszywkami, już na starcie daje mi przewagę nad rozmówcą, wprowadzając go w zakłopotanie, a „generalskie” wężyki na ramionach i czapce potęgują wrażenie i sprawiają, że trudno pomylić mnie z innym rozmówcą.

Okres Zagłębiowski

Po niewątpliwym sukcesie mego dyrektorowania w „Wujku”, minister górnictwa Mitręga postanowił mnie awansować. W tym czasie, był to rok 1960-ty, Pierwszy Sekretarz Partii w Katowicach Edward Gierek, miał poważny problem. Dąbrowskie Zjednoczenie Górnicze w Sosnowcu, jego rodzinnym mieście, było najgorsze w górnictwie węglowym. Wymyślili razem, że ratunkiem może być tylko mgr inż. Franciszek Wszótek. Wezwali mnie na rozmowę i zaproponowali objęcie stanowiska Naczelnego Dyrektora Dąbrowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego.

Awans obłożony był zadaniami:

- osiągnąć roczne wydobywanie 24 milionów ton węgla
- uspokojenie społeczności tak zwanego „Czerwonego Zagłębia”, które groziło strajkiem, niezadowolone z dotychczasowego kierownictwa.

Otrzymałem też wolną rękę w ustawieniu według siebie nowego kierownictwa kopalni „Wujek” i przez rok prawo kontrolowania ich pracy.

Dąbrowskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego posiadało:

- a) 11 kopalń węgla kamiennego,
- b) Przedsiębiorstwo Transportu Samochodowego, łącznie 600 pojazdów, w tym 400 autobusów,
- c) 2 piaskownie z taborem kolejowym i elektrowozami,
- d) Centralne Zakłady Naprawcze Maszynowe,
- e) Centralne Zakłady Naprawcze Elektryczne,
- f) 2 elektrownie zakładowe.

Razem 62 tysiące robotników, inżynierów, ekonomistów, plus cztery szkoły górnicze.



Zagłębie Dąbrowskie to rodzinne strony generała Zawadzkiego, premiera Babiucha, Pierwszego Sekretarza Gierka, prezesa TV Szczepańskiego, ministra Szlachcica i wielu, wielu innych członków Komitetu Centralnego Partii. Zagłębiacy tradycyjnie i historycznie zawsze się buntowali przeciw władzy, nie tylko kapitalistycznej, ale i lewicowej. Każdy z tych „ważniaków” miał inną receptę na uspokojenie tej komunistycznej kolebki. Ale najgorsze było to, że ci działacze

partyjno-państwowi nienawidzili się wzajemnie. Kiedy jechałem samochodem z Przewodniczącym Rady Państwa (dzisiejszym odpowiednikiem prezydenta) generałem Zawadzkim, to mnie ostrzegał, że podpadnę Gierkowi. I rzeczywiście, kiedy Gierek mnie spotkał, to pytał, dlaczego afiszuję się z Zawadzkim! Ja na szczęście nie byłem ani Ślązakiem, ani Zagłębiakiem, tylko Gorolem i dzięki temu mogłem lawirować między towarzyszami, nie deklarując się wyraźnie po żadnej stronie. W takiej to atmosferze zostałem Naczelnym Dyrektorem Zjednoczenia w Zagłębiu Dąbrowskim, zaś samo Zjednoczenie to 350 urzędników, dyrektorów, ekonomistów itd.

Moim Pierwszym zastępcą był Dyrektor Techniczny, starszy ode mnie o 25 lat, dr inż. Witold Rymorski, który przyjął mnie dobrze i w dalszej pracy był bardzo lojalny.

Po dwóch tygodniach objeżdżania i kontrolowania wszystkich podległych mi kopalń i przedsiębiorstw, stwierdziłem z przerażeniem ogólny brud, brak organizacji pracy, lenistwo, a co najgorsze, na kopalniach rządzili nie dyrektorzy tylko Komitety Partyjne. Na przykład dyrektorem kopalni „Czeladź” był urzędnik Komitetu Centralnego pochodzący z Czeladzi, na kopalni „Miłowice” dyrektorem był były Generalny Dyrektor Przemysłu Węglowego, a na kopalniach „Jowisz” i „Grodziec” dyrektorami byli lokalni komuniści.

Kopalnie Zagłębiowskie zbudowane za czasów cara rosyjskiego już wówczas były zacofane technicznie, w czasach II-giej Rzeczypospolitej nieinwestowane, podczas okupacji niemodernizowane, podobnie i po wojnie. W żadnej kopalni nie było ani jednego metra kwadratowego utwardzonej powierzchni. Dojazd do kopalni to droga żużlowa i błoto. Po placach kopalnianych urzędnicy chodzili w gumiakach. Dosłownie rozpacz!!! Tylko niektóre kopalnie miały łaźnie górnicze, a zwykle, górnicy chodzili po pracy do domu cali czarni, bo kopalnia nawet mydła im nie dawała.

Spotkałem się z całym gronem „Czerwonych Zagłębiowskich Ważniaków”, czyli z Gierkiem, Zawadzkim i innymi, i poprosiłem ich o „jeden rok odpustu” i o wolną rękę do działania. Zgodzili się chętnie, tylko Gierek prosił, bym zorganizował wielki klub sportowy tak, by młodzi opuścili budki z piwem i poszli na stadiony. Po tej naradzie, wszyscy Kopalniani Sekretarze Partii oraz Sekretarze miast: Sosnowiec, Dąbrowy Górniczej, Czeladzi i Wojkowic, otrzymali dyrektywę, że mają pomagać Wszołkowi, bo jak nie to wylecą. Ja odwiedziłem biskupa sosnowieckiego, który zorganizował kolację ze wszystkimi proboszczami i zawarliśmy Pakt Tolerancji i Pokoju. Następnie wezwałem do siebie na naradę,

połączoną z kolacją, dyrektorów kopalń i sekretarzy partyjnych. Każda kopalnia otrzymała pisemny program działania i sposób finansowania: remontów, asfaltowania dróg, budowy nowych łaźni, budowy dyspozytorni, poprawy wentylacji w wyrobiskach, wprowadzenia kombajnów węglowych, zakupu ubrań roboczych, modernizacji księgowości i wiele, wiele innych zadań technicznych i socjalnych.

Po kilku dniach program ten dotarł do Gierka. Gdy go zobaczył, przyjechał do mnie do Sosnowca i krzyczy: – *Franek tyś zwariował! Skąd weźmiesz na to pieniądze? Polska i Gomułka nie ma i NIE DA!!! Twój program to prawdziwy komunizm, raj na ziemi, ale nas na to nie stać!*

Odpowiedziałem: – *Spokojnie, spokojnie. Towaszyszu Edwardzie ja pieniądze mam!*

— *Skąd???* – i wtedy przedstawiłem mu mój program finansowy:

Zawarłem umowę z Węgłokoksem, że dostarczę im dodatkowo co miesiąc 50 tysięcy ton węgla na eksport. Węgłokoks sprzeda ten dodatkowy węgiel na eksport po 45 dolarów za tonę.

$$50\,000 \times 45 = 2\,250\,000 \text{ USD}$$

$$2\,250\,000 \text{ USD} \times 12 \text{ miesięcy} = 27\,000\,000 \text{ USD}$$

Gdybym te dolary sprzedał Narodowemu Bankowi Polskiemu po 5 złoty, to otrzymalibyśmy 135 milionów złotych. Dla porównania cena wolnorynkowa dolara wynosiła wtedy 60 złotych co dawało 1 miliard 620 milionów złotych. Pokazuje to jak oficjalna ekonomia państwowa miała się do rzeczywistości.

Na pytanie Gierka skąd wezmę te dodatkowe 50 tysięcy ton węgla, przedłożyłem mu zobowiązanie Dyrektorów Kopalń, Sekretarzy Partyjnych oraz Związków Zawodowych, że przepracujemy w każdym miesiącu JEDNĄ DODATKOWĄ NIEDZIELĘ.

Gierek oniemiał.

Pokazałem mu szybko kontrakt z Węgłokoksem na dostawę dodatkowo 600 tysięcy ton węgla. W tym czasie Węgłokoks eksportował rocznie 40 milionów ton węgla i nasze dodatkowe 600 tysięcy ton, zwiększało eksport zaledwie o 1,5%, ale ten nikły procent zapewniał finansowanie moich planów.

Gierek powiedział: – *Akceptuję, ale oficjalnie nic o tym nie wiem. W razie czego, będę cię bronił.*

Całe szczęście, że Węgłokoks był w Katowicach i organizacyjnie podlegał pod Ministerstwo Górnictwa ministra Mitreği, który mój plan akceptował, a nie pod „warszawskie” Ministerstwo Handlu Zagranicznego.

Aby mieć „czyste ręce”, dolary za węgiel nie wpływały na konto Zjednoczenia, ale były gromadzone w Węgłokoksie. Nasz księgowy przekazywał faktury za maszyny i inne roboty bezpośrednio do Węgłokoksu, który je realizował. Nikt z nas nie widział nawet jednego dolara!

Po pierwszej dobrowolnej produkcyjnej niedzieli, każdy górnik po wyjeździe na górę otrzymał do ręki 100 złotych (20 dolarów). To były pieniądze, które otrzymał nie po miesiącu, razem z innymi należnościami, tylko na miejscu i od razu, przez co wiedział, że jest to pieniądź dodatkowy za dodatkową pracę. No i były to pieniądze, których nie musiał oddać żonie. W poniedziałek po produkcyjnej niedzieli, na kopalnię przyjechały przygotowane wcześniej samochody z ubraniami roboczymi, butami, skarpetami, koszulami, kalesonami. Każdy górnik wybrał sobie po dwa komplety. W łaźniach pojawiły się kartony bezpłatnego mydła, szamponów, proszków do prania i rozpoczął się montaż maszyn pralniczych oraz suszarek.

Szok był nieprawdopodobny!

Górnicy mówili: – *Ten pieroński Gorol z Gorlic godoł prowde!!!*

Kiedy zjawili się dziennikarze, urządziłem im pijaństwo, obdarowałem korpami z pieniędzmi i żaden artykuł na szczęście się NIE ukazał. Mogłem spokojnie pracować dalej.

W kopalniach ruszyły remonty. Asfaltowano drogi i place, zakładano trawniki, a na dole budowano nowe, wysokowydajne wentylatory, wymieniano zużyte taśmociągi, zaczęto wprowadzać kombajny. Codziennie do pracy dowoziliśmy ponad 20 tysięcy pracowników. Postanowiłem zezłomować wszystkie stare autobusy „SAN” i tak zwane „krowioki”, czyli samochody ciężarowe z ławkami dla ludzi i na to miejsce kupiliśmy piękne autobusy z zagranicy firmy „Berliet”. Dla dyrektorów kupiłem samochody czeskie „Tatra 603”. Faktury za wszystko realizował Węgłokoks.

Po pół roku kopalnie Zagłębiowskie były nie do poznania, a w pierwszym roku mojego urzędowania w Sosnowcu, plan produkcyjny został przekroczony o 3 miliony ton, czyli o ponad 12% ! Ostatnie Zjednoczenie stało się pierwszym Zjednoczeniem.

A jak sobie radziłem z miejscowymi komunistami? Niech to zilustruje ten przykład:

Po pierwszym miesiącu mojego dyrektorowania, przyszła do mnie delegacja tak zwanych Starych Działaczy Komunistycznych. Mieli oni w Komitecie Miejskim całe jedno piętro i prowadzili nieustanne narady po 8 a nawet 10 godzin dziennie. To nie były narady, a raczej kłótnie, jak wprowadzić w Polsce

komunizm. Trzeba przyznać, że ich głos bardzo się liczył. Jak pamiętam do mnie przyszli Suchojad, Bielecki i Zawadzki. Była to silna grupa, która jeździła do Moskwy na posiedzenia Komintermu prowadzonego przez sławnego Dymitrowa.

Oni mieli swoje prawa – nie rozmawiali z sekretarką, tylko pięścią walili w moje drzwi. Kiedy usiedli przy biurku, nastąpił taki dialog:

— *Dyrektorze Naczelny. Czy wy wiecie kto ta Polska zrobił?*

— *Wiem.*

— *Kto?*

— *Wy.*

— *Dyrektorze Naczelny. Czy wy wiecie dzięki komu wy siedzicie tu na tym stołku?*

— *Wiem.*

— *Dzięki komu?*

— *Dzięki wam.*

— *Dyrektorze Naczelny. Czy wy wiecie że teraz jest wrzesień?*

— *Tak... tak jest w kalendarzu.*

— *Czy wy wiecie, że we wrześniu trzeba jechać do lasu na grzyby?*

— *Plan jest dobry.*

— *Ale żeby jechać na grzyby, trzeba mieć autobus!*

To ja naciskam guzik na głośnomówiący telefon i polecam Dyrektorowi Transportu, aby wybrał najlepszy autobus z najlepszym kierowcą w porządnym ubraniu, z czystą białą koszulą, ma się stawić do dyspozycji Starych Działaczy Partyjnych na delegację do lasu na grzyby. Na to działacz:

— *Dyrektorze Naczelny. Jak się jedzie na grzyby, to trzeba coś zjeść i coś wypić po kielichu.*

— *Ile?*

— *My wyliczyli, że 3 tysiące złotych.*

Dzwonię do kasjera, aby zaraz w kopercie przyniósł 5 tysięcy złotych z mojego funduszu. Kasjer był z kopertą po trzech minutach. Pytam – *Co jeszcze?* Odpowiedzieli: – *To wszystko* – i wyszli. Po paru minutach wrócili. Pytam, co zapomnieli, a Towarzysze na to:

— *Dyrektorze. Chcemy wiedzieć, kto tu kogo robi w chuja. My przyszli do was się powadzić, a wy dyrektorze wszystko nam załatwili. Nam coś tu nie pasuje. No co wy od nas oczekujecie?*

— *Oczekuję, że będziecie popierać moją rewolucję techniczną w Zjednoczeniu.*

— *Na nas Dyrektorze możecie liczyć!*

Podczas pięciu lat pracy w Zjednoczeniu, nigdy nie miałem kłopotów z Partią i komunistami i naprawdę miałem wolną rękę przy przeprowadzaniu mojego programu.

Gierek i Mitręga byli zadowoleni, ale Gierek oczekiwał, kiedy zaczę organizować SPORT! W Sosnowcu był klub sportowy „Stal”. Mieli boisko przy ulicy Mireckiego, kawałek walącego się baraku i betonowe koryto, w którym piłkarze myli się po meczach. Razem było osiemnastu piłkarzy i bardzo, bardzo dużo fanatycznych kibiców. Gierek był zagorzałym kibicem tego klubu i nie mógł znieść ciągłych porażek jego piłkarzy. Postanowił, że zostanie prezesem klubu i tak się stało, pomimo tego, że w czasie gdy w klubie były wybory nowego prezesa, ja byłem od dwóch tygodni na Węgrzech. O nominacji dowiedziałem się po powrocie. Nowy prezes, nowy klub – a więc nowa nazwa. Po burzliwej naradzie w Komitecie Wojewódzkim Partii zaproponowałem nazwę: Górniczy Klub Sportowy „Zagłębie” Sosnowiec. I tak zostało. Wiceprezesami zostało jedenastu dyrektorów kopalń. Każdy otrzymał zadanie, za które był odpowiedzialny: jeden odpowiadał za stroje zawodników, aby były w wystarczającej ilości i czyste, inny za szatnie, kolejny za dowóz sportowców na zawody, następny dbał o masażystów i kucharzy, a jeszcze inny o trawę na boisku. Mając pieniądze, kupiłem zaraz ośmiu piłkarzy i rozpocząłem budowę w Sosnowcu Stadionu Ludowego. Dziś nazywa się on „Stadion im. Kiepur”, na cześć słynnego rodaka z Sosnowca, który przed wojną grał w tym klubie, który wtedy nazywał się „Unia-Sosnowiec”. Stadion na 40 tysięcy miejsc był gotów po upływie roku. Po roku zdobyliśmy „Puchar Polski” i byliśmy Wice mistrzami Polski. Na mecze przychodziło 30–40 tysięcy kibiców, a w Polsce w tym czasie liczyły się tylko dwie drużyny: Górnik Zabrze i Zagłębie Sosnowiec.

*Górniczy Klub Sportowy
„ZAGŁĘBIE”
Sosnowiec*

Prezes
Mgr inż. FRANCISZEK WSZOŁEK

Tel. 618 02

Gierkowi bardzo zależało na rozpropagowaniu sportu wśród górników i zachęcał innych sekretarzy partyjnych, by chodzili na mecze i dawali osobisty przykład. Ale każdy z nich kibicował swojej drużynie, przez co poniedziałkowe posiedzenia Komitetu Wojewódzkiego sprowadzały się zwykle do kłótni i awantur na tematy piłkarsko-meczowe. Można mówić o czasach PRL-u, jak się chce, ale jednego tym ludziom odmówić nie można: kochali sport, budowali stadiony i w tych w sumie nieciekawych czasach, wielu młodych ludzi nie popadło dzięki temu w alkoholizm.

GKS Zagłębie to nie tylko piłkarze, ale również: hokej, lekkoatletyka, boks, kolarstwo, siatkówka, koszykówka, tenis ziemny, szachy itd. Razem było 520 zarejestrowanych sportowców.



Posiedzenie Zarządu Klubu „Zagłębie Sosnowiec”.

Po zakończeniu rundy rozgrywek piłkarskich, Gierek sprowokował i spowodował mój wyjazd szkoleniowy do klubu „Juventus” we Włoszech i „Liverpool” w Anglii. Szkoliłem się w jednym i drugim klubie po miesiącu. Oczywiście, tak w Anglii, jak i we Włoszech, towarzyszyli mi polscy ambasadorowie. Po miesiącu pobytu w Turynie, Prezydent Klubu „Juventus”, a zarazem właściciel fabryki FIAT Angelo Giuliano, wydał uroczystą kolację w swojej prywatnej rezydencji, w której brał również udział polski ambasador z Rzymu i Generalny Konsul z Mediolanu. Podczas tej kolacji, prezes oświadczył, że chciałby produkować w Polsce samochody FIAT, co już robiono przed wojną.

Ja mu na to: – *Panie Prezydencie. My w Polsce nie mamy dość dolarów, ale mamy dobry węgiel. Proponuję wam kupno polskiego węgla za 5 milionów dolarów za które zbudujemy w Polsce fabrykę FIATA.* Po powrocie, temat ten poprowadził wicepremier Szyr i za 18 miesięcy od tej kolacji, uruchomiona została na Żeraniu w Warszawie pierwsza linia montażowa FIATÓW 125p. Przy jej uroczystym uruchomieniu brałem udział jako jej „Ojciec Chrzestny”. Premier Jaroszewicz przeciął połowę wstęgi, a ja drugą połowę.

Tak oto wizyta sportowa całkiem niespodziewanie dała konkretny efekt gospodarczy.

Razem z klubem „Zagłębie” odwiedziłem wiele krajów w Europie, a także Izrael i Chiny. Ale największy nasz sukces, to była wyprawa na turniej piłkarski do USA i zdobycie tam Pucharu Interligi w 1964 roku. Wyjazd wtedy do USA był ewenementem. Nasz dwumiesięczny pobyt miał charakter sportowy ale i polityczny, a szczególne znaczenie miał dla tamtejszej Polonii. Byliśmy chyba pierwszymi „zwykłymi” Polakami jacy oficjalnie odwiedzili po wojnie Amerykę i w dodatku, w równej sportowej walce, odnieśliśmy prawdziwy sukces. Byliśmy gorąco przyjmowani przez tamtejszych Polonusów spragnionych kontaktu z krajem i polską mową. Wzięliśmy udział w niezliczonych przyjęciach, po których otrzymywaliśmy najróżniejsze prezenty.

Szczególne było nasze spotkanie ze światowej sławy śpiewakiem operowym, „chłopakiem z Sosnowca”, Janem Kiepurą. Odbędzie się ono w czasie przerwy w meczu z drużyną AEK Ateny. Wynik wskazywał 0 : 0, ale Grecy wyraźnie przeważali. Piłkarze siedzieli markotni w szatni i słuchali reprimendy od trenera, gdy nagle z widowni podbiegł nieduży, elegancko ubrany pan w czarnym kapeluszu. Potężnie zbudowani ochroniarze próbowali go zatrzymać, ale on do jednego coś zagadał, drugiemu przebiegł za plecami, innemu wywinął się pod ramionami, po czym odepchnął mnie od drzwi, wbiegł na środek szatni

i krzyknął: – *Jestem Jan Kiepura z Sosnowca! Kochani! Jesteście wielcy! Ja podbiłem Amerykę głosem, wy musicie zrobić to nogami!* – Po takim występie trener nie miał już nic do gadania, a piłkarze obścąpili rodaka z Ameryki, ciekawi spotkania z tak wielką gwiazdą. Gdy sędzia zagwizdał na drugą połowę, radośni i odprężeni wybiegli na boisko. Szybko strzelili gola, a potem umiejętnie bronili korzystnego wyniku aż do końca spotkania. Po meczu Kiepura śpiewał przed stadionem dla polskich kibiców, a potem zaprosił nas do siebie do domu na uroczystą kolację. Dom Kiepury mieścił się na przedmieściach Nowego Jorku. Nie był ładny, ale obszerny i cały umeblowany wyłącznie meblami z Polski. Oprócz kilku fortepianów pełno w nim było drewnianych skrzyń, góralskich zydlów, na ścianach wisały góralskie ciupagi, a łowickie pasiaki sąsiadowały z kurpiowskimi wycinankami. Cepelia! Podczas przyjęcia, na którym było ponad stu gości, Jasiu Kiepura wskoczył na fortepian i śpiewał *...brunetki, blondynki ja wszystkie was dziewczynki całować chcę...*, prowokował wspólne śpiewanie, a sam był śpiewakiem i dyrygentem.

Gdzieś po północy odesłałem piłkarzy spać do hotelu, a ja usiadłem z Martą Eggerth na pogawędkę, która była żoną Kiepury, również słynną śpiewaczką operową. Z pochodzenia była Węgierką, ale świetnie mówiła po niemiecku. W tym momencie Jasiu Kiepura rozpoczął szalony taniec z krzesłem, co wywołało entuzjazm pozostałych gości. Pani Marta Eggerth była również zadowolona, śmiała się i klaskała, a dla mnie było to ogromne zaskoczenie. Zapytałem ją: – *Frau Marta. Jak Pani wytrzymuje z tym wariatem?* – a pani Marta mówi: – *Herr Franek. Czy widzi Pan tego wspaniałego polskiego patriotę? To wspaniała słowiańska dusza tego roztargnionego zawsze Jasia z Sosnowca mnie urzekła, w nim się zakochałam i kocham go takiego jaki jest, bo to mi się w nim podoba. Ta otwarta polska dusza!*

Przeprosiłem za moje głupie pytanie i do końca kolacji było mi wstyd, że nie czuję tego entuzjazmu. Była to dla mnie piękna lekcja miłości i patriotyzmu.

Zgoła innej lekcji udzielił nam Generalny Konsul Polski w Chicago. Konsulat w Chicago był pusty, nikt do niego nie przychodził, bo polonusi uważali, że to komuna. Kiedy wygraliśmy dwa mecze w Chicago (z Werder Bremą 3 : 0 i z Crveną Zvezdą 3 : 1), po moich usilnych staraniach zdołałem wprowadzić przedstawicieli Polonii do naszego konsulatu, którzy pogodzili się z naszym konsulem. Ale kiedy po kilku dniach Burmistrz Chicago wydał bankiet na cześć „Zagłębia”, gdzie zaproszono tysiąc gości, to nasz konsul nie chciał usiąść w prezydium, bo na ścianie powieszono wielki gobelin z orłem w koronie. Konsul nazywał się

Kita i twierdził, że gdy usiądzie pod orłem w koronie, to zaraz wyleci z pracy. Musiałem w tej sprawie telefonować do Polski do Gierka, a ten do Warszawy i konsul dostał z Warszawy zgodę na to, że może siedzieć pod orłem w koronie. Było to przykre, ale prawdziwe. Takie to były czasy, że korona orła na gobelinie decydowała o pracy Generalnego Konsula w Chicago, a przez to o kontaktach stęsknionych polonusów ze swym krajem rodzinnym.

Pobyt za oceanem obfitował w spotkania z wielkimi tego świata. Byliśmy między innymi gośćmi Sekretarza Generalnego ONZ w Nowym Jorku i zwiedziliśmy cały budynek, łącznie z salą Rady Bezpieczeństwa. Oprowadzał nas ambasador Wyzner. Mnie udało się odwiedzić w Chicago mego wujka Jana Horowicza oraz spotkałem się z ciotką Kądzielowską i ich rodzinami. Zawiozłem im do USA kasetkę z ziemią z grobów rodzinnych w Zagórzanach. Była to dla nich prawdziwa relikwia i jedyny dostępny sposób połączenia się z rodzinnymi stronami. Dzisiaj wszyscy oni już umarli, ziemię z Polski wysypano na ich grobach, a mnie pozostały tylko zdjęcia w albumie.

Po powrocie z Ameryki ze zdobytym pucharem, na Stadionie Ludowym w Sosnowcu witało nas 50 tysięcy kibiców. W loży honorowej był niemal kompletny Rząd Polski, z Przewodniczącym Rady Państwa generałem Zawadzkiem. Po powitaniach rozegraliśmy mecz ligowy z Legią Warszawa, który wygraliśmy 3 : 1. Po zwycięskim meczu, 40 tysięcy kibiców świętowało całą noc na ulicach Sosnowca i przed Urzędem Miejskim. W tych czasach zwycięstwa sportowe były traktowane jako działalność patriotyczna i polityczna.

W okresie PRL-u każdego roku oddawano do użytku jedną nową kopalnię węgla, a jej otwarcie odbywało się tradycyjnie przed „Barbórką”. Otwarcia nowej kopalni dokonywał zawsze Pierwszy Sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nowe kopalnie powstawały głównie w Rybnickim Okręgu Węglowym oraz w Nadwiślańskim Okręgu Węglowym. Węgiel z rejonu Rybnika to był węgiel koksujący, niezbędny do wytopu stali, natomiast z rejonu Nadwiślańskiego – węgiel energetyczny. W 1961 roku organizowałem otwarcie nowej kopalni węgla „Porąbka” w Zagórzku koło Sosnowca. W opracowanym przeze mnie programie uroczystości przewidywałem po wiecu i przecięciu wstęgi, poczęstunek dla VIP-ów. Oczywiście program otwarcia kopalni musiał być uprzednio zatwierdzony przez Komitet Wojewódzki PZPR w Katowicach. Edward Gierek, jako gospodarz na Śląsku i w tym czasie Pierwszy Sekretarz w Katowicach zadzwonił do mnie, że program zatwierdza, ale bez części gastronomicznej – *...bo jak wiesz Gomułka jest ascetą i nie lubi*

przyjąć, kieliszka wódki nie wypić w swoim życiu. Tłumaczyłem Gierkowi, że kiedy zapraszałem Gomułkę w Warszawie zapytał mnie, czy postawię górniczą wódkę, a ja potwierdziłem, że oczywiście. Gierek jednak twardo twierdził, że to był żart Wiesława i część gastronomiczną musiałem skreślić. Wszystko odbyło się bardzo uroczystie z pełnym ceremoniałem, przy obecności kilku tysięcy górników ze wszystkich kopalń zagłębiowskich i oficjeli partyjno-państwowych z Katowic, Sosnowca, Dąbrowy Górniczej, Będzina i oczywiście Warszawy. Po oficjalnym otwarciu Kopalni, Gomułka przy wszystkich zaproszonych głośno zwrócił się do mnie: – *Franek, teraz idziemy na Twoją górniczą wódkę!* Ja zbłądłem, a Gierek do mnie: – *Franek, ratuj sprawę! Przyjęcie i wódka musi być!* Co robić? Na szczęście Komendant Wojewódzkiej Milicji w Katowicach generał Franciszek Szlachcic szepnął mi do ucha: – *Franek nie martw się, ja to załatwię.*

Zatelefonował do oficerów milicji, którzy w 15 minut przywieźli na kopalnię komplet gastronomiczny wraz z alkoholem i profesjonalnymi kelnerami, czyli oficerami UB w odpowiednich strojach. W sali konferencyjnej dyrekcji kopalni ustawiono stoły, zamiast obrusów posłużyły prześcieradła z hotelu robotniczego i w pół godziny przyjęcie było gotowe.

Budynek dyrekcji kopalni jest w pewnym oddaleniu od dyspozytorni, więc trzy samochody: Gomułki, Gierka i mój skręciły w stronę dyrekcji kopalni, a pozostała kolumna samochodów wyjechała za bramę i powoli ruszyła w stronę Katowic. Przyjęcie-poczęstunek rozpoczęło się przemówieniem toastowym Gomułki. Podczas tego przemówienia usłyszeliśmy głośny huk-wybuch. Szyby zadrżały a generał Szlachcic i ochrona wybiegli z sali. Po kilku minutach wrócił Szlachcic i zameldował: – *Wszystko w porządku.* I przyjęcie trwało jeszcze jakieś dwie godziny. Gomułka był w świetnym humorze i wypił dokładnie dwa kieliszki wódki. Prawda o wybuchu była jednak inna. W odległości jakieś 200 metrów od bramy kopalni, w rurze płotu umieszczony był materiał wybuchowy, który został zdetonowany, gdy przejeżdżały obok czarne limuzyny. Zamachowiec liczył, że w jednej z nich jest Władysław Gomułka. Zginął przypadkowy mężczyzna, a przechodzące dziecko zostało inwalidą. Epilog tego zdarzenia miał miejsce wieczorem w Katowicach, w reprezentacyjnej willi Ministerstwa Górnictwa. Gierek zabrał mnie, ministra Mitręgę, generała Szlachcica i pojechaliliśmy do Gomułki. Tam, Gierek z ponurą miną zameldował Gomułce, którego zastaliśmy w piżamie, że ten huk w czasie toastu to był zamach na jego życie i to w jego, Gierka, rodzinnej miejscowości Porąbka, 100 metrów od jego rodzinnego domu. W związku z tym on Gierek składa na ręce Gomułki rezygnację

ze stanowiska Pierwszego Sekretarza PZPR w Katowicach i z wszystkich funkcji partyjnych.

Gomułka spokojnie wystuchał tego oświadczenia i powiedział, że zamachy na liderów partii były, są i będą, z czym się trzeba liczyć, a rezygnacji Gierka nie przyjmuje i o wszystkim należy zapomnieć: – *A ty Franek jako gospodarz postaw kieliszek wina dla dobrego snu*. Oczywiście wypiliśmy po kieliszku wina i tak się zakończyła dla mnie sprawa zamachu na Gomułkę.

Po kilku miesiącach złapano zamachowca, niejakiego Jarosa. Osądzono go i skazano na śmierć, a wyrok niezwłocznie wykonano. Ładunek wybuchowy zdetonował on z dachu budynku, wykorzystując przewody do ulicznych głośników, tak zwanych „kołchoźników”. Materiał wybuchowy i zapalarkę ukradł w kopalni. W czasie procesu Jarosa wyszło na jaw, że nie była to jego pierwsza tego rodzaju akcja. Wcześniej wysadzał w powietrze koparkę, słup wysokiego napięcia, stację CPN, a wpadł po wysadzeniu stacji transformatorowej. Był on też sprawcą nieudanego zamachu na Chruszczowa i Gomułkę w lipcu 1959 roku. Bomba umieszczona przez niego na drzewie była jednak zbyt słaba i wybuchła zbyt wcześnie, spadło jedynie kilka gałęzi, które szybko posprzątano, a całą sprawę utajniono. Szczegóły tej sprawy wiem z ust generała Szlachcica, który kierował grupą dochodzeniową.

Jedno jest pewne: nie wiadomo, jak by sprawy się potoczyły, gdyby Gomułka niespodziewanie nie zapragnął napić się „górnictwej wódki”.

Z tamtych lat ważne miejsce w mej pamięci zajmuje znajomość i mogę to powiedzieć przyjaźń ze znanym i cenionym pisarzem górniczym Gustawem Morcinkiem. Bardzo często w soboty, minister Mitręga zabierał mnie, a niekiedy i inne osoby i jechaliśmy do Skoczowa, gdzie mieszkał ten wybitny piewca Śląska, Śląska Cieszyńskiego i górników, autor między innymi „Wyrąbanego chodnika” i „Łyska z pokładu Idy”. Wcześniej ludzie Mitręgi zawozili zaopatrzenie gastronomiczne z dobrymi trunkami i tam odbywały się „spotkania górników z pisarzem górniczym”. Był to wielki patriota śląski i polski, czego dowód dał między innymi niezłomną postawą w czasie wojny, którą całą spędził w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Volkslisty nigdy nie podpisał. Tak znana i ceniona osoba nie mogła zostać poza sferą zainteresowań władzy. Morcinek był więc posłem na Sejm w latach 1952–1956 i tam został on użyty jako narzędzie do brudnej gry politycznej.

W kilka dni po śmierci Stalina, w marcu 1953 roku, w Sejmie miało miejsce specjalne posiedzenie ku czci zmarłego. Po licznych przemówieniach na

mównicy stanął Gustaw Morcinek i przeczytał wsunięty mu w ostatniej chwili projekt uchwały. Uchwała głosiła, że dla uczczenia pamięci Wodza Światowego Proletariatu zmienia się nazwę Katowic na Stalinogród, a województwo katowickie na stalinogrodzkie. Uchwałę przyjęto przez aklamację, ale Morcinek w oczach ogółu ślązaków stracił swój mir i poważanie. Wprawdzie po październiku 1956 roku powrócono do starej nazwy, ale wspomnienie tamtego dnia prześladowało pisarza aż do śmierci, a ogół Ślązaków do dzisiaj pamięta, na czyj wniosek zmieniono nazwę ich stolicy.



Mitręga, Wszółek i Morcinek w Skoczowie

Morcinek kilkakrotnie opowiadał o tym, jak został skołowany i zmuszony do przeczytania feralnej uchwały. Mitręga i my wszyscy żyjący w tamtych latach wiemy, jakie to były czasy i rozumiemy, że Morcinek został wrobiony w sytuację, dla osiągnięcia konkretnego celu politycznego. Do dziś dokładnie pamiętam jak minister Mitręga powiedział: *Gustlik ja Ci wierza, bo wiem do czego są zdolne te kurwy warszawsko-moskiewskie*. Wielokrotnie wszyscy próbowaliśmy wyperswadować pisarzowi, że to nie jego wina, że **musiał** zaproponować ten Stalinogród, ale Morcinek był z tego powodu załamany psychicznie do końca życia i jestem pewien, że sprawa ta skróciła mu życie o kilka lat.

Minister Mitręga zaproponował Morcinkowi i namawiał go, aby napisał nową książkę w rodzaju „Od konika Siwka do dyspozytorni górniczej”. Spędziliśmy razem kilka dni w dyspozytorni „Wujka” i na kopalni, aby stary pisarz oswoił się z atmosferą nowoczesnego produkowania węgla przy pomocy kombajnów i elektroniki dyspozytorskiej. Powstało z tego ponad sto stron brudnopisów i notatek, ale niespodziewana i nagła śmierć w grudniu 1963 roku nie pozwoliła tej pracy dokończyć.

Dzisiaj w jego domku w Skoczowie jest muzeum regionalne, a w nim między innymi nasze fotografie. Jeżdżąc do Wisły często to muzeum odwiedzam, bo Morcinek to wielki patriota i pisarz górniczy.

Po pięciu latach gospodarowania w Sosnowcu, zapadła decyzja, że dobrze zorganizowane, najlepsze w Polsce, Dąbrowskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego może poprowadzić każdy inny, a mgr inż. Franciszek Wszółek, „syn małorolnego chłopca z Gorlic”, został Wiceministrem Górnictwa i Energetyki.

Na ministerialnym stołku

Uroczystość wręczenia nominacji miała miejsce w Ministerstwie Górnictwa w Katowicach. W Sali Kolegialnej obecni byli wszyscy generalni dyrektorzy kopalń, elektrowni, przedsiębiorstw górniczych, rektorzy Akademii Górniczo-Hutniczej z Krakowa i Politechniki z Gliwic, prezydenci miast górniczych, wszyscy w galowych mundurach ze szpadami. Po ceremoniale nominacyjnym i przemówieniach gratulacyjnych, jako ostatni poprosił o głos wiceminister do spraw produkcji mgr inż. Franciszek Jopek, który zwrócił się do premiera następująco: – *Panie Premierze. 10 lat temu pojechałem na kopalnię „Wujek”, aby nowego dyrektora pouczyć jak wydobywać węgiel i przekraczać plan produkcyjny.*

Dyrektor wyrzucił mnie z kopalni i powiedział, abym martwił się o ministerstwo, a nie o jego kopalnię, bo za produkcję odpowiada dyrektor a nie minister. Tym dyrektorem był mgr inż. Franciszek Wszółek, któremu Pan Premier wręczył przed chwilą nominację na wiceministra. Ja mam na imię Franciszek, tak jak nowy wiceminister. Proszę Pana Premiera o zgodę, by w Pana Obecności wypić z nowym kolegą wiceministrem bruderschaft. Premier, rzecz jasna wyraził zgodę i po chwili dwie opróżnione lampki szampana roztrzaskały się na środku sali.

Ministerstwo Górnictwa i Energetyki miało swą siedzibę w Warszawie przy ul. Kruczej i drugą siedzibę w Katowicach przy ul. Powstańców. Minister Mitręga zdecydował, że ja będę szefem oddziału warszawskiego. Podlegały mi:

- Biura Projektów Górniczych z Katowic, Krakowa i Gliwic,
- Zjednoczenie Fabryk Maszyn POLMAG,
- Zjednoczenie Naftowe – Warszawa,
- Zjednoczenie Gazowe – Warszawa,
- biura konstrukcyjne,
- zaopatrzenie resortu.

Ponadto reprezentowałem resort górnictwa na posiedzeniach Rządu i Sejmu, odpowiadałem za współpracę z obcymi ambasadami i innymi resortami gospodarczymi. Równocześnie odpowiadałem za współpracę gospodarczą z ZSRR, a w Ambasadzie Polskiej w Moskwie miałem podległą mi Delegaturę Resortu Górnictwa i Energetyki.

Mgr inż. FRANCISZEK WSZOŁEK

*Podsekretarz Stanu
w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki*

Ponadto byłem stałym członkiem Państwowej Rady Górnictwa przy Prezesie Rady Ministrów oraz członkiem Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Co 3 miesiące brałem udział w posiedzeniach Światowej Organizacji Naftowej i Światowej Organizacji Gazowej ONZ w Genewie. Miałem w Genewie stałe Sekretariaty Naftowe i Gazowe, których pracę kontrolowałem co kwartał. Zostałem nominowany na członka Rady Naukowo-Technicznej przy ministrze Obrony Narodowej marszałku Spychalskim. Członkami Rady byli również wiceminister Obrony Narodowej generał Jaruzelski, generał Urbanowicz i wiceministrowie Hutnictwa i Handlu Zagranicznego.

W Warszawie posiadałem wieloosobowy sekretariat i miałem do dyspozycji czteroosobowy samolot MORAVA z pilotem Makulą.

Praca rządowa jest zupełnie inna niż praca na kopalni czy w Zjednoczeniu. Aby jej podołać przeszedłem trzymiesięczne szkolenie, głównie z zakresu protokołu dyplomatycznego. Uczono nas jak chodzić (powoli), jak jeść (nie łapczywie), gdzie siadać w samochodzie, jak przyjmować gości, jak rozmawiać, z kim rozmawiać wolno, a z kim rozmawiać nie wolno. Muszę przyznać, że reguły protokołu dyplomatycznego bardzo ograniczają życie prywatne rządzących. Całe szczęście, że ja byłem ministrem „gospodarczym”, a nie ministrem „politycznym”. Wykładowcami byli starsi ambasadorowie z wieloletnim stażem zagranicznym.

Co zrobiłem jako wiceminister?

Dział Maszyn Górniczych

Podlegało mi 17 fabryk maszyn górniczych. W większości miały one bardzo przestarzały park maszynowy. Produkowały maszyny potrzebne do wydobywania węgla i ropy, ale nie tylko. Około 7% produkcji przeznaczone było dla wojska. Na przykład produkowaliśmy skrzynie biegów do czołgów, a fabryka lamp górniczych produkowała maski gazowe i filtry powietrza do czołgów. Wykorzystałem to zaangażowanie we wzrost obronności kraju i w Komisji Planowania wyprosiłem pieniądze, za które kupiłem w Finlandii 800 różnego rodzaju nowoczesnych obrabiarek. Zmieniłem organizację pracy w fabrykach i wprowadziłem krótkie, proste ich nazwy jak: POLMAG, RYFAMA, PIOMA, RAPID itd. Przekonałem Ministra, że skoncentrowanie fabryk maszyn na Śląsku powoduje brak ludzi do pracy i związane z tym kłopoty z dowożeniem pracowników z coraz większych odległości. Postanowiłem rozbudowę, a raczej budowę fabryki

PIOMA w Piotrkowie Trybunalskim, produkującą maszyny dla kopalni w Bełchatowie i Fabrykę Maszyn Górniczych „Glinik” w Gorlicach.

Z powstaniem tej fabryki w moich rodzinnych Gorlicach wiąże się osobna opowieść. Do mojego biura w Warszawie przyjechała delegacja z miasta Gorlice na czele z dyrektorami Kotwicą i Karlicem. Prosiли mnie jako rodaka z Gorlic o pomoc w rozbudowie Warsztatów Naftowych „Glinik”, jako producenta maszyn i urządzeń wiertniczych. Oświadczyłem, że sprawę przemysłu, ale bardzo się z tej wizyty ucieszyłem. Już wcześniej myślałem o rozbudowie „Glinika”, ale obawiałem się podejrzeń o „popieranie swoich”, czyli nepotyzm, oraz o to, czy w Gorlicach chcą postępu i rozwoju. Wizyta delegacji rozwiązała te obawy. Minister Mitręga dał mi w tej sprawie wolną rękę. Pozostało jeszcze uzyskać akceptację wicepremiera Jaroszewicza, co nie było takie łatwe. Postanowiłem podejść do tego kompleksowo i „zaatakować” generała na wszystkich frontach. Piotr Jaroszewicz był połem z Podkarpacia i zagorzałym myśliwym. Z pomocą władz miasta zorganizowałem wicepremierowi polowanie w rejonie Uście Gorlickie – Małastów. Bazą mieszkaniowo-myśliwską był tak zwany zamek w Siarach, gdzie gościł nas mój kolega szkolny Czesław Jener z żoną. Po udanym polowaniu i myśliwskiej kolacji przedstawiłem wicepremierowi koncepcję rozbudowy fabryki „Glinik” w Gorlicach, pod kątem produkcji maszyn górniczych i wiertniczych. Szczególnie podkreślałem tradycje techniczne Gorlic, miejsca powstania światowego przemysłu naftowego i istnienie tu stosunkowo licznej wykształconej klasy robotniczej. Jaroszewicz oświadczył, że pomysł jest bardzo dobry, bo w Gorlicach jest nadmiar robotników, a na Śląsku trzeba ich sprowadzać i budować dla nich nowe osiedla i hotele robotnicze. Mając zgodę ministra Mitręgi i akceptację wicepremiera Jaroszewicza, wezwałem do Warszawy delegację z Gorlic i przedstawiłem im moją koncepcję rozbudowy Fabryki Maszyn Górniczych.

Na budowę „Glinika” przeznaczyłem 17 milionów złotych. Miałem wielkie szczęście, że dyrektorem „Glinika” był dr inż. Kazimierz Kotwica, a dyrektorem technicznym był mgr inż. Karlic. Ja tylko zabezpieczałem pieniądze i dokumentację techniczną, a Kotwica i Karlic organizowali budowę na miejscu. Początkowo, Wiertnicze Zakłady Naprawcze „Glinik” zatrudniały tylko 300 robotników. Rozbudowana Fabryka Maszyn Górniczych „Glinik” zatrudniała 8 tysięcy osób, w większości tak zwanych chłoporobotników. Znaczenie tej fabryki dla miasta Gorlice i powiatu gorlickiego jest nieocenione. Nie ma tam rodziny, w której ktoś nie byłby związany z „Glinikiem”. Nawet teraz, po czterdziestu latach, jestem dumny, gdy widzę dobrze zagospodarowane, czyste wioski wokół Gorlic:

Zagórzany, Stróżówka, Ropica, Szymbark, Sękowa, Kobylanka. To szybki rozwój fabryki „Glinik” dał impuls i pociągnął za sobą rozwój całego regionu. Muszę z dumą przyznać, że nowe, samorządowe władze III-ciej Rzeczypospolitej, nie zapomniały o wiceministrze Wszółku i na specjalnym posiedzeniu Rady Miasta, z okazji 650-lecia miasta Gorlice i 90-ej rocznicy Bitwy Gorlickiej, zostałem uhonorowany Złotym Medalem Miasta Gorlice, a w okolicznościowym przemówieniu podkreślono, że to za „Glinik”.

Ja twierdzę, że w zasadzie, w Gorlicach nie było tak zwanej komuny. Nawet Pierwszy Sekretarz Partii Musiał, chodził z żoną do kościoła, tylko nie w Gorlicach, lecz do Szymbarku. Szkoda tego człowieka, bo zginął tragicznie na polowaniu. Ale miało miejsce i takie wydarzenie:

Zdarzyło się to, gdy byłem na delegacji służbowej w Finlandii, dokąd dostarczaliśmy 2 miliony ton węgla. Dzwoni do mnie minister Mitręga i mówi, że mam natychmiast wracać do kraju, bo w Gorlicach grozi STRAJK! Słowo „strajk” robiło w tym czasie piorunujące wrażenie i było zarezerwowane wyłącznie dla prasowych doniesień z zagranicy, gdzie źli kapitaliści gnębią klasę robotniczą. Miałem polecenie nie dopuścić do strajku. Po wylądowaniu na Okęciu, obok już czekał rozgrzany mój samolot służbowy „Morava”, którym poleciałem do Krosna, a tam czekał dyrektor Fabryki „Glinik” K. Kotwica. O co chodziło? Projektanci rozbudowy fabryki „Glinik” zaplanowali budowę jednej z hal fabrycznych w taki sposób, że trzeba było zburzyć stojący tam miejscowy mały kościółek, a właściwie kaplicę. Dyrektor Biura Projektowego twardo stawiał sprawę, że kościółek musi być zburzony. Parafianie wraz z księdzem powiedzieli: NIE POZWOLIMY! I zagrozili strajkiem. Zwołałem natychmiast naradę projektantów, a było to wieczorem. Dyrektora Biura Projektów natychmiast delegowałem na pół roku do Związku Radzieckiego, a pozostałym projektantom dałem czas do rana, aby tak przeprojektowali lokalizację hali, by nie było konieczności burzenia kościółka. Rano projekt był gotowy, a każdemu projektantowi wręczyłem w kopercie po 10 tysięcy złotych nagrody. W południe pojechałem na plebanię do księdza, przeprosiłem go i parafian oraz zapewniłem, że kościółka nikt nie ruszy. Po południu odbyła się msza dziękczynna za uratowanie kościoła, a ja zameldowałem w Katowicach i w Warszawie, że żadnego strajku nie będzie, a cała sprawa to tylko błąd w dokumentacji. Epilog tej sprawy miał miejsce miesiąc później. Wieczorem, na górkę do domu rodziców w Gorlicach przyjechał samochód a w nim gorlicki proboszcz i... dwóch biskupów z Tarnowa (!). Przyjechali by podziękować Ojcu i Matce za uratowanie kościoła przez

syna. Niezapowiedziana i niespodziewana wizyta tak dostojnych gości zrobiła na domownikach piorunujące wrażenie. Biskupi zjedli u Wszołków kolację, czyli ziemniaki z kwaśnym mlekiem, poświęcili dom, stodołę i stajnię i długo rozmawiali. Efekt tej wizyty był taki, że nasza pobożna matka ile razy przyjechałem do domu, to w nocy zaszywała mi w kołnierzyki, klapy marynarki i w inne części ubrania poświęcone szkaplerzyki, które miały mnie chronić od wypadków. Do dzisiaj odkrywam w starych ubraniach zaszyte szkaplerzyki (a szkaplerzyki wciąż działają!).

W 2006 roku było obchodzone stulecie gimnazjum im. Kromera w Gorlicach, z udziałem biskupa tarnowskiego. Nowy biskup tarnowski, który dobrze przygotował się do wizyty na uroczystości, w rozmowie ze mną powiedział, że w księgach Diecezji Tarnowskiej jest opisany epizod uratowania kościółka w Gliniku i podane jest tam moje nazwisko.

Górnictwo naftowe i gazowe

Kiedy zacząłem zajmować się górnictwem naftowym i gazowym, to ono istniało na Podkarpaciu w formie, można rzec szczątkowej. Produkowaliśmy około 150 tysięcy ton ropy naftowej rocznie i niecały miliard metrów sześciennych gazu ziemnego. Wszyscy fachowcy i naukowcy twierdzili, że jeśli ropa i gaz ziemny w Polsce – to tylko Karpaty. A tymczasem doradcy zagraniczni doradzili mi, by szukać ropy i gazu na tak zwanym Niżu Polskim. Moją prawą ręką w tej sprawie był geolog mgr Józef Stemulak, mój kolega ze szkoły z Gorlic. Zorganizowałem naradę wszystkich liczących się geologów i po całodziennym naradzie do niczego konkretnego nie doszliśmy. Wieczorem, na zakończenie, wystąpił mgr Stemulak i przedstawił nasz nowy, rewolucyjny program szukania ropy i gazu na Niżu Polskim. Wszystkich zatkało i poprosili o tydzień czasu do namysłu. Po tygodniu spotkaliśmy się znowu i wtedy wszyscy geologowie nasz program poparli. Wkrótce rozpoczęło się pierwsze wiercenie w Karlinie. Pierwszy otwór na Niżu Polskim w Karlinie zakończył się wybuchem i pożarem, a dla mnie było to szczęście w nieszczęściu, bowiem cała Polska zobaczyła, że ropa JEST. Opracowaliśmy wniosek kredytowy na 20 milionów rubli transferowych i kredyt ten z Moskwy bez problemów otrzymaliśmy. Po roku wystąpiłem o drugie 20 milionów kredytu i finansowo byłem zabezpieczony. Ten „naftowy” kredyt był mocnym impulsem, który popchnął do przodu i pozwolił zdynamizować rozwój

całego polskiego przemysłu naftowego. Natychmiast otrzymałem z ZSRR dwustu specjalistów naftowych i rozpocząłem od nowa budować polskie górnictwo naftowe i gazowe. Do najważniejszych przedsięwzięć w tym zakresie zaliczam:

- 1) zorganizowałem GEOFIZYKĘ Toruń,
- 2) zorganizowałem GEOFIZYKĘ Kraków,
- 3) uruchomiłem w Krakowie fabrykę świdrów GEORYT,
- 4) zreorganizałem poszukiwania naftowe w Krośnie, Sanoku i Gorlicach,
- 5) zreorganizałem Przedsiębiorstwa Poszukiwań Naftowych w Wołominie, Zielonej Górze, Pile, Krakowie, Jaśle, Ostrzeszowie Wielkopolskim,
- 6) zorganizowałem PETROBAŁTYK i zamówiłem w Norwegii pierwszą platformę wiertniczą.

Po trzech latach pracy zwiększyłem wydobycie ropy naftowej do 500 tysięcy ton, a gazu ziemnego do czterech miliardów metrów sześciennych rocznie.

Dzisiaj, zorganizowane przeze mnie górnictwo naftowe i gazowe, to potęga gospodarcza Polski. Ale nie wszystko zakończyło się sukcesem. Porażką ekonomiczną zakończyła się próba odzyskiwania starych złóż metodą tak zwanego parowania. Technologia ta polega na tłoczeniu, pod wielkim ciśnieniem, gorącej pary wodnej otworami wiertniczymi do złoża ropy i po roztopieniu zalegającej tam parafiny, innymi otworami wypływa gotowa ropa naftowa. Robiliśmy to w Kobylance, Sękowej i Dominikowicach. Niestety, koszty produkcji pary wodnej i inne koszty, były większe niż wartość odzyskiwanej w ten sposób ropy. Było to spowodowane niską ceną ropy, którą otrzymywaliśmy ze Związku Radzieckiego, oraz tym, że technologię parowania, powszechnie wykorzystywaną na całym świecie, stosuje się, gdy do produkcji pary wykorzystuje się gazy odpadowe z innych, sąsiednich, czynnych otworów na tym samym złożu. Po 5-ciu latach zaniechaliśmy tej działalności, co niestety oznaczało koniec Przedsiębiorstwa Wiertniczego w Gorlicach.

Jak już wcześniej pisałem, z uwagi na to, że jako wiceminister odpowiadałem za problemy ogólnie resortowe, co wymagało stałego kontaktu z administracją państwową, zamieszkałem w Warszawie w hotelu obok Ministerstwa. Większość wieczorów spędzałem w ambasadach na spotkaniach towarzysko-biznesowych i uciekałem, jak mogłem od polityki, która w PRL-u prowadzona była nie przez Rząd Polski tylko przez partię PZPR, a konkretnie przez jej Biuro Polityczne. Na posiedzeniach Rady Ministrów, w której obradach regularnie uczestniczyłem, Minister Spraw Zagranicznych był rzadkim gościem i najczęściej raz na miesiąc jego delegowany wiceminister na koniec posiedzenia

odczytywał tytuły dokumentów, bez czytania ich treści, a Rada Ministrów głosowała jednogłośnie za ich przyjęciem ... i ja też. O wielką politykę otarłem się w sierpniu 1968 roku w czasie pobytu w Moskwie w czasie podpisywania kredytu „naftowego” i dało mi to do myślenia, jak się taką politykę robi.

A było to tak.

Minister Mitręga i ja Wszótek, w ramach zacieśniania braterskich stosunków z górnikami czeskimi, prowadziliśmy oficjalną politykę przyjaźni z wojewodą w Ostrawie, Oldrzichem Czernikiem. Przyjaźń urzędowa przerodziła się z czasem w przyjaźń prywatną, a żona Czernika Bożenka na soboty i niedziele przyjeżdżała do mojej żony Lucyny i odwrotnie. Tu należy wspomnieć, że mieliśmy paszporty dyplomatyczne i przekraczanie granicy nie było problemem, z czego nasze żony chętnie korzystały. Wzajemne odwiedzanie się prawie w każdym tygodniu było dla nas codziennością. Z biegiem lat wojewoda Czernik awansował na Czeskiego Ministra Górnictwa, a po tak zwanej politycznej wiośnie praskiej został Premierem Republiki Czechosłowackiej. Pierwszym Sekretarzem Komunistycznej Partii Czech został wtedy sławny Słowak Aleksander Dubczek. W ich programie politycznym było nadanie socjalizmowi ludzkiej twarzy i polityczne zbliżenie się do Zachodu. Pomimo tak błyskotliwej kariery politycznej Czernika nasze układy towarzyskie pozostały niezmienione; trójka: Czernik, Mitręga i Wszótek tworzyli przykład prawdziwej przyjaźni polsko-czeskiej.



Oldrich Czernik z moją córką Grażynką.

Był sierpień 1968 roku. Otrzymałem informację, że władze ZSRR zgodziły się na udzielenie Polsce pożyczki, a raczej otwarcie kredytu, w wysokości 20 milionów rubli transferowych. Rada Ministrów upoważniła mnie do podpisywania kontraktu. Już w samolocie do Moskwy otrzymałem zieloną depeszę tylko dla członków rządu, że jutro rano wojska Układu Warszawskiego, w tym Wojsko Polskie pod dowództwem generała Jaruzelskiego, wejdzie do Czechosłowacji bronić komunizmu. Po wylądowaniu otrzymałem tajny rozkaz premiera Cyrankiewicza, abym pozostał w Moskwie tak długo jak trzeba i był do jego dyspozycji.

Następnego dnia na Kremlu podpisałem kontrakt, który umożliwił rozpoczęcie poszukiwania w Polsce ropy naftowej i gazu ziemnego, w tym wiercenia na dnie Bałtyku. Do dzisiaj platforma „Petrobaltiku” powstała z tych pieniędzy, wydobywa rocznie pół miliona ton ropy naftowej. Moim partnerem do współpracy z ZSRR był Minister Geologii prof. Sidorenko, twórca potęgi naftowo-gazowej ZSRR, światowy autorytet z zakresu geofizyki i poszukiwań ropy naftowej, gazu ziemnego, węgla kamiennego, niklu jak również złota. Minister Sidorenko był Zastępcą Przewodniczącego Akademii Nauk ZSRR, należał więc do ścisłej elity ZSRR. Akademia Nauk liczyła 692 członków, tylko profesorów, którzy nie otrzymywali pensji miesięcznych, a zakupy robili w specjalnych sklepach typu polskiego PEWEX-u, jedynie za okazaniem legitymacji. Wstęp tam mieli jeszcze członkowie Polit-Biura i sekretarze Komitetu



Centralnego Partii. Konto otwarte bez ograniczeń, taka mała oaza prawdziwego komunizmu dla wybranych. W Moskwie taki „sklep” (?) znajdował się na najwyższym piętrze domu towarowego „UNIWERMAG”, na wprost Krem-la. Minister Sidorenko dwa razy zaprosił mnie tam na zakupy, których efektem było futro karakułowe dla mojej żony Lucyny i mały amerykański samochódzik na pedały dla syna Andrzeja. Profesor Sidorenko i jego żona, również profesor, to typowi naukowcy, których celem życiowym było nowatorstwo, odkrywanie nowych technologii i sprawy ogólnoświatowe. Byli bezdzietnym małżeństwem (na dzieci nie mieli czasu), mieszkali w ogromnym wielopokojowym mieszkaniu po rosyjskim bojarze, które traktowali jedynie jako miejsce do spania. Po podpisaniu kontraktu, na kolacji w mieszkaniu Sidorenków poinformowałem swych gospodarzy, że wojska Układu Warszawskiego weszły do Czechosłowacji dla obrony komunizmu. Profesor zareagował gwałtownie, że to niemożliwe i wskazał mi palcem lampę na suficie. Po kolacji wyszliśmy razem na spacer z psem. Dopiero w parku państwo Sidorenkowie poinformowali mnie, że ich mieszkanie jest stale podsłuchiwane i mikrofony są ukryte we wszystkich pokojach. Moje informacje o „bratniej pomocy” wojsk Układu Warszawskiego dotąd nie były oficjalnie ogłoszone i dla Sidorenki były wielkim zaskoczeniem. Uważał on, że jest to duży błąd, bo do komunizmu trzeba przekonywać, a nie zmuszać i wnosić komunizm na bagnietach.

Po kilku dniach załatwiania spraw konkretyzujących podpisany kontrakt, wieczorem poszliśmy z Sidorenką na spacer z psem. Na ulicach widać było ekipy rozwieszające transparenty i flagi ZSRR i Czechosłowacji. Profesor Sidorenko poinformował mnie, że jutro odbędzie się na Kremlu oficjalne przywitanie delegacji partyjno-państwowej Republiki Czechosłowacji, która to delegacja przybędzie do Moskwy aby, jak podawała oficjalna prasa i telewizja, podziękować kierownictwu ZSRR za internacjonalistyczną pomoc. Miało to wykazać światowej opinii publicznej jedność i pełne zrozumienie bratnich partii i narodów. Opowiedziałem profesorowi Sidorenko o moich zażyłych stosunkach z premierem Czernikiem, na co profesor mocno ożywiony zaprosił mnie na oficjalne przyjęcie na Kreml i poprosił, bym przy nadarzającej się okazji przedstawił go czeskiemu Premierowi.

Po wjeździe na plac kawalkady samochodów, stojąc w szeregu ministrów radzieckich ściskaliśmy dłonie członków delegacji czechosłowackiej. Bez trudu poznałem Prezydenta Czechosłowacji Ludvika Svobodę, natomiast nie było w delegacji ani premiera Czernika, ani Pierwszego Sekretarza Komunistycznej

Partii Czech Dubczeka. Minister Sidorenko pyta się mnie: – *Gdzie Twój przyjaciel Czernik?* Zażenowany odpowiadam: – *Nie ma go! Sekretarza Dubczeka też nie ma!* Po powitaniu udaliśmy się do wielkiej sali na pierwszym piętrze, gdzie dla gości była przygotowana ogromna libacja. Delegacja Czechosłowacka i członkowie Biura Politycznego Komitetu Centralnego udali się na drugie piętro, gdzie miały się odbyć rozmowy polityczne. Po jakiejś godzinie ja i Sidorenko, jako chyba jedyni niepijący w całym towarzystwie, wyszliśmy na korytarz, by przy oknie odpocząć od gwaru i spokojnie porozmawiać. Patrzymy przez okno: zajęchały dwie czarne limuzyny „Czajka”. Po chwili wyprowadzono z nich dwie osoby, które **miały założone worki na głowy!** Pobiegliśmy w stronę schodów i tam, już bez worków na głowie, zobaczyliśmy prowadzonych przez milicję na drugie piętro, premiera Czechosłowacji Czernika i Pierwszego Sekretarza Czeskiej Partii Komunistycznej Dubczeka. Krzyknąłem: – *Cześć Oldrzych!* – a ten zaskoczony moją obecnością na Kremlu odpowiedział: – *Jak się masz Franciszku!!!*



Prof. Sidorenko

Później dowiedziałem się, że Czernik i Dubczek po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego zostali aresztowani przez Rosjan w Pradze i potajemnie wywiezieni do Moskwy, gdzie byli więzieni w podmoskiewskiej willi. Być może, że uwolnił ich Prezydent Svoboda, który kategorycznie zażądał, aby w rozmowach uczestniczyli również Premier i Pierwszy Sekretarz Partii. Aresztowanie głównych osób w państwie, ich przetrzymywanie i traktowanie przyniosło Rosjanom zamierzony skutek, gdyż w wyniku odbytych rozmów obydwaj politycy do tej pory bardzo niepokorni wobec Moskwy, zgodzili się na rosyjskie warunki i po ich powrocie do kraju nastąpiło przyspieszone wycofywanie się z wcześniejszych planów uniezależnienia Czechosłowacji od „wielkiego brata” i podążenia drogą Jugosłowiańską. Po kilku miesiącach odwołano premiera Czernika i do końca życia pracował w biurze projektowym w Pradze. Dubczeka również zwolniono z wszelkich pełnionych funkcji, a nawet usunięto z Partii. W późniejszych latach zaangażował się w działalność opozycyjną, a po zwycięstwie „Aksamitnej Rewolucji” został Przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Wielka polityka, decyzje zmieniające losy narodów, ale metody jak z gangsterskiego filmu.

Jednym z efektów podpisanego kredytu, było przysłanie do Polski 200 radzieckich specjalistów nafciarzy, którzy przy pomocy naszych inżynierów i sprowadzonego sprzętu, rozpoczęli wiercenia poszukiwawcze ropy i gazu na całym terytorium Polski. Szefem tej grupy specjalistów był stary, doświadczony nafciarz o nazwisku Alikin. Pewnego dnia przyszedł on do mojego biura w Warszawie i mówi: – *Towariszcz Minister! My naszli zołoto!* – i woła swoich pomocników, którzy wnieśli do biura zapakowane w papier drewniane korytka pełne zielono – brązowego błota. – *Eto nastojaszczije zołoto!* Otóż szukając w regionie Legnicy ropy naftowej, na głębokości 300 do 800 metrów odkryli złoża rudy miedzi. Rosjanie zrobili w swych laboratoriach konieczne badania i analizy i stwierdzili, że złoża ma wartość przemysłową. Kazałem te korytka zostawić na stole i zadzwoniłem do prof. Krupińskiego, który był Przewodniczącym Państwowej Rady Górnictwa i absolutnym autorytetem w sprawach górniczych, osobą szanowaną i poważaną we wszystkich kręgach. Profesor polecił mi natychmiast dostarczyć te korytka i całą dokumentację do jego biura, a mnie kazał czekać przy telefonie rządowym. Około godziny ósmej wieczorem wezwał mnie do swego biura, gdzie zastałem już Premiera Cyrankiewicza. Prof. Krupiński zwrócił się do Premiera tymi słowami: – *Panie Premierze, ten mój młody kolega przyniósł mi dzisiaj to złote jajko*

– i teatralnym gestem zdjął brudne pomięte arkusze papieru z jeszcze brudniejszych drewnianych korytek. Widząc zdziwienie na twarzy Cyrankiewicza, który słabo orientował się w sprawach górniczych, rozpoczął długi wykład, co to jest miedź, jaka jest jej wartość i znaczenie w gospodarce, jak się ją wydobywa i używa. Wykład profesora trochę Premiera Cyrankiewicza znudził, przerwał mu i spytał: – *Po co panowie mnie tu zaprosili?* Wtedy prof. Krupiński wyjął z biurka i podał premierowi pismo, na którym było napisane tylko jedno zdanie:

„Polecam wybudowanie kopalni pilotującej rudy miedzi.”

Premier pyta: – *Co mam z tym papierkiem zrobić?* – profesor pokazuje palcem: – *Tu podpisać.* Premier Cyrankiewicz bez mrugnięcia okiem podpisał i w ten sposób powstał KGHM POLSKA MIEDŹ, obecnie najbogatsza firma w Polsce, w której skład wchodzi między innymi trzy kopalnie i dwie huty miedzi. A złoto? Złoto i srebro są niejako produktem ubocznym przy uzyskiwaniu miedzi. Dla przykładu, w 2009 roku uzyskano 500 tysięcy ton miedzi, tysiąc dwieście ton srebra i ponad dziewięćset kilogramów złota.

Wiem, że obecnie istnieje kilka wersji tego jak doszło do odkrycia złóż miedzi i kto tego dokonał. Nie zamierzam tego teraz tu rozstrzygać. Wiem na pewno, że jako wiceminister odpowiedzialny za sprawy górnictwa i wydobywania, aż do wizyty Alikina nic nie wiedziałem o tych złożach, a i prof. Krupiński wyglądał na zaskoczonego otrzymanym raportem.

W tym miejscu należy napisać kilka zdań o prof. Bolesławie Krupińskim. Doprawdy trudno przecenić znaczenie i rolę jaką dla rozwoju polskiego przemysłu surowców kopalnych wniósł prof. Krupiński. Kształcony w Akademii Górniczej w carskim Petersburgu i na polskiej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, której był jednym z pierwszych absolwentów, po wojnie był Dyrektorem Technicznym Centralnego Zarządu Górnictwa Węglowego. Po kilku latach Centralne Górnictwo zamieniono na Ministerstwo Górnictwa, ale tam dla Krupińskiego nie było miejsca, gdyż zdecydowanie odmówił wstąpienia do Partii Komunistycznej. Jednak szanowano go jako wybitnego fachowca i został Przewodniczącym Państwowej Rady Górniczej. Jako Sekretarz Stanu w Urzędzie Rady Ministrów posiadał tytuł ministra i miał swe biuro naprzeciwko biura Premiera Cyrankiewicza. Józef Cyrankiewicz miał pańskie maniery i bardzo odpowiadały mu pańskie, górnicze maniery prof. Krupińskiego, mającego carskie wykształcenie i maniery dworu cara. W Urzędzie Rady Ministrów mówiło się, że w tym budynku mamy dwóch panów: Pana Premiera Cyrankiewicza i Pana Profesora Krupińskiego. I nigdy nie mówiło się do nich per „towarzyszu”.

Moje pierwsze spotkanie z prof. Krupińskim miało miejsce jeszcze w czasie okupacji w Krakowie, gdzie prof. Krupiński był jednym z wykładowców w Państwowej Szkole Technicznej Górniczo-Hutniczo-Mierniczej. Po wojnie spotkaliśmy się w Warszawie w 1948 roku. Wezwano nas, 15-tu młodych, dobrze zapoziwiających się inżynierów, na rozmowę polityczną. Profesor Krupiński zrobił nam wykład: – *Wojna się skończyła i zgodnie z Jąłtą mamy taką Ojczyznę jaką mamy. Inteligencja polska winna wziąć przykład z Czechosłowacji, gdzie wszyscy wstąpili do partii lewicowej i odbudowują swój kraj, a wy młodzi Polacy stoicie z boku. Trzeba wstępować do partii, aby Związek Radziecki nam chętniej pomagał np. w dostawie ropy naftowej, gazu ziemnego i broni dla armii.* Padło pytanie: – *A pan profesorze?* Profesor odpowiedział, że jest na to za stary i do partii nie wstąpi, ale my młodzi powinniśmy to zrobić. Po długiej rozmowie wszyscy zadeklarowaliśmy się, że wstąpimy do partii lewicowej. Były wtedy w Polsce dwie takie partie: komunistyczna Polska Partia Robotnicza i socjalizująca Polska Partia Socjalistyczna. Czternastu z nas wstąpiło do PPS, a jeden do PPR. Pracowałem wtedy na kopalni „Mikulczyce”, gdzie zostałem zaraz przewodniczącym koła PPS. Wkrótce do „mojej” partii PPS wstąpiło dwustu górników, nadgórników, sztygarów. PPR na kopalni miała pięciu członków. Takie mniej więcej proporcje przynależności partyjnej były w większości zakładów pracy, ale mimo to, na kongresie zjednoczeniowym w 1948 roku, kiedy to powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, górę w nowej partii wzięli, wspierani przez Moskwę, komuniści z PPR. Jedyną „pamiątką” po PPS jest brak słowa „komunistyczny” w nazwie nowej Partii i premier Cyrankiewicz, który był z PPS-u.

Gdy zostałem wiceministrem, moje kontakty z prof. Krupińskim stały się bardzo częste. Profesor kształtował długofalową politykę surowcową państwa, był niekwestionowanym autorytetem w tych sprawach, znanym i szanowanym w całym górniczym świecie, lubianym przez swoich studentów z Krakowskiej AGH i Gliwickiej Politechniki. Profesor Krupiński zmarł w 1972 roku, pochowany jest na Powązkach – Cmentarzu Wojskowym w Warszawie. Do końca życia nie zdołał odnaleźć grobu swego jedyne go syna, który jako żołnierz Pierwszej Armii generała Berlinga, zginął gdzieś w czasie wojny.

Po kilku latach „ministrowania” i odniesionych przeze mnie sukcesach, jak odkrycie ropy na Niżu Polskim, czy uruchomienie produkcji nowoczesnych maszyn górniczych w nowo wybudowanej fabryce TAGOR w Tarnowskich Górach, władze z Warszawy i zagranicy (czytaj Moskwy) zwróciły uwagę na wiceministra z Gorlic. Spowodowało to wepchnięcie mnie w sieć intryg warszawskich.

Ministra Mitręgę w Katowicach buntowano, że działający w Warszawie Wszółek, rośnie na poważnego konkurenta. Mitręga nienawidził Warszawy i nie podobały mu się moje kontakty warszawskie. Gdy Warszawa ustaliła plan produkcji węgla na 200 milionów ton w roku, zakazał eksportu maszyn górniczych, a całą produkcję kazał skierować na kraj. Warszawa tego nie poparła, bo chcieli mieć wpływ zarówno z węgla, jak i z maszyn. Na dodatek, Mitręga został wicepremierem i chcieli odebrać mu Ministerstwo Górnictwa i Energetyki. Mnie wezwano na rozmowę i szykowano na ministra. Mitręga, w odwecie, wystąpił z wnioskiem o odwołanie mnie ze stanowiska wiceministra. Wybuchła wojna kadrowa. Pewnego dnia, w Komitecie Centralnym, posadzono mnie w pustym pokoju, dano kartkę papieru i kazano spisać wszystkie znane mi grzechy zawodowe i prywatne ministra Mitręgi. Po ośmiu godzinach siedzenia oddałem czystą kartkę. Tym samym wydałem wyrok na samego siebie. Odszedłem z czystym sumieniem, na nikogo nic nie napisałem. Wiem przecież doskonale, że tylko dzięki Mitrędze byłem wiceministrem i żadnego świństwa nie mogłem mu zrobić.

Wkrótce odsunęli się ode mnie wszyscy pseudo-przyjaciele i zostałem bezrobotnym.

Po dwóch miesiącach zaproponowano mi funkcję ambasadora w Mongolii. Nie zgodziłem się, potem ambasadora w Czechosłowacji – odmówiłem. Wtedy polecono mi samemu szukać pracy, ale tylko za granicą. Pojechałem do Gorlic porozmawiać o tym z ojcem. Ojciec, który zawsze miał trzeźwe spojrzenie na świat i z którego zdaniem zawsze się liczyłem, poprosił mnie tylko, bym nie sprzedał się polityce. A ambasador to stanowisko polityczne. Osamotniony, bez pieniędzy, postanowiłem rozpocząć wszystko od nowa. Domek, w którym mieszkalem i do dziś mieszkam, był kopalniany, a jedyna rzecz jaka była moją własnością był samochód Polski Fiat 125p. Zarejestrowałem się więc w Urzędzie Miasta Katowice jako taksówkarz i wyjechałem do pracy pod dworzec PKP. W tym czasie taksówek nie było zbyt wiele i szybko zrobiłem dwa kursy. Zarobione pieniądze zawiozłem do domu, bo, jest w to może trudno uwierzyć, ale po kilku miesiącach przymusowego bezrobocia, brakowało pieniędzy na podstawowe artykuły. Kiedy podjechałem ponownie pod dworzec, czekał tam na mnie Pierwszy Sekretarz K.W. PZPR w Katowicach, Zdzisław Grudzień. Gdy mnie zobaczył, skoczył na mnie z mordą: – *Franek! Co ty wyprawiasz!! Ty taksówkarz???* Ja mu na to: – *Zarabiam na chleb!* Grudzień na to: – *Kompromitujesz górnictwo i Władzę Ludową! I PARTIĘ!!!* Odpowiedziałem: – *Ja od was nic nie chcę. Legitymację już dawno wam odesłałem pocztą.*

Kiedy rozmowa się uspokoiła, Grudzień powiedział mi, że Mitręga będzie odwołany ze stanowiska ministra, bo zadął z Partią, a potem po trzech miesiącach, zostanie odwołany ze stanowiska wicepremiera. Na okres „likwidacji” Mitręgi powinienem wyjechać za granicę, a potem się okaże. Po powrocie, gwarantował mi stanowisko podsekretarza stanu, czyli wiceministra, ale może nie w górnictwie. Potem razem zjedliśmy obiad (Grudzień płacił) i otrzymałem samochód z kierowcą i dewizy na delegację, dla skontrolowania naszych budów eksportowych w Europie. Miałem tam znaleźć sobie pracę na rok lub dwa.

Na budowach w NRD

Podczas pobytu w Berlinie (NRD), niemiecki minister Klaus Siebolt zaproponował mi zorganizowanie i poprowadzenie budowy wielkiej, podziemnej Elektrowni Szczytowo-Pompowej w Markesbach. Podjąłem się tego zadania



XXIX lecie PRL zastało mnie w NRD (1973 r.).

i wkrótce polska firma górnicza KOPEX, której zostałem dyrektorem naczelnym, miała do pracy w NRD 720 górników z Polski, 32 specjalistyczne pojazdy, koparki, spycharki itp.

Dla moich górników otrzymałem całe osiedle mieszkaniowe, a ponieważ roboty posuwały się sprawnie i terminowo, podpisałem dodatkowe 32 kontrakty, między innymi na rozbudowę kopalni soli potasowej, budowę tuneli drogowych i dwunastokilometrowego tunelu dla wody pitnej dla miasta Zwickau. Ponadto w Westfalii w Niemczech Zachodnich budowaliśmy szyb kopalniany „Bismarck” o głębokości tysiąca metrów.

Zaliczono mnie, jako pełnomocnika rządu, w skład kierownictwa Ambasady w Berlinie, a mój samochód otrzymał status dyplomatyczny.

Wyniki ekonomiczne moich budów były fantastyczne, a jakość wykonania została doceniona przez niemieckich inwestorów. Wkrótce byłem szefem trzydziestu budów górniczych w Niemczech, a ja zostałem uznany za najlepszego eksportera polskiego w Europie. Zbudowana elektrownia szczytowo-pompowa w Markesbach pracuje wspaniale do dziś, a kilka lat temu, jako jej budowniczy, zostałem zaproszony na uroczystość trzydziestolecia elektrowni, gdzie niemiecki minister gospodarki odznaczył mnie złotym medalem. Również głęboki szyb „Bismarck” oraz trzy szyby wentylacyjne spisują się bez zarzutu, a za tunel wodny w Zwickau otrzymałem Honorowe Obywatelstwo Miasta.

W 1976 roku nastąpiło w Polsce załamanie ekonomiczne. Pewnej lipcowej nocy zadzwonił do mnie minister górnictwa, abym natychmiast wsiadł w samochód i jechał do Warszawy. Po dwunastu godzinach zameldowałem się razem z ministrem Kulpińskim u premiera Jaroszewicza. Rozmowa była krótka, wojskowa. Woda zatopiła budowane szyby w Lubelskim Zagłębiu Węglowym i trzeba awaryjnie sprowadzić specjalistyczne pompy ze Szwecji. Problem w tym, że kasa dewizowa Narodowego Banku Polskiego jest pusta, a Szwedzi żądają gwarancji premiera, że do końca grudnia otrzymają należne trzy i pół dolarów. Premier Jaroszewicz mianował mnie Pełnomocnikiem Rządu do spraw Eksportu na kraje kapitalistyczne, w randze wiceministra, postawił do mojej dyspozycji Ministerstwo Handlu Zagranicznego, a miałem do wykonania jedno zadanie: przed końcem roku wręczyć mu czek na minimum pięć miliona dolarów. Po konsultacji z ministrem handlu zagranicznego Józefem Olszewskim, po trzech dniach byłem w samolocie lecącym do Nigerii. Tak się zaczęła moja afrykańska przygoda.

Na Czarnym Lądzie

Ulokowałem się w Lagos, stolicy Nigerii, najbogatszego naftowego i węglowego kraju Czarnego Kontynentu. Angielscy kolonizatorzy opuszczając Nigerię zdevastowali i zatopili istniejące kopalnie węgla, a wojna „biafrańska”, podczas której zginęło ponad milion ludzi, dokonała dalszego spustoszenia przemysłu górniczego. W tym czasie w prowincji Biafra odkryto bogate złoża ropy naftowej i za te petrodolary, wojskowy rząd Nigerii postanowił odbudować górnictwo węglowe.

Z rządem Nigerii, w imieniu Polski, podpisałem Protokół o Współpracy Gospodarczej i przedstawiłem kilkanaście ofert. Polacy w Nigerii – to była ogromna sensacja w Afryce. Polaków uważano za przyjaciół. Prasa, radio i telewizja bardzo obszernie i regularnie informowały o naszej działalności, a szef wojskowego rządu generał Obasanjo traktował nas jako przeciwwagę dla znienawidzonych angielskich kolonizatorów. Mimo tego wyczuwałem pewną obawę o słuszność angażowania się w interesy z nieznanymi Polakami. Aby ją przezwyciężyć, postanowiłem wykorzystać pewną słabość mych czarnoskórych gospodarzy. Wszyscy bogaci i znaczący Nigeryjczycy kończyli najlepsze szkoły w Londynie, nadal wysyłali tam swoje dzieci i bardzo im się podobały angielskie zwyczaje, na przykład robienie zakładów. Więc gdy przedstawiłem ofertę wartą 32 miliona dolarów na:

- rozbudowę kopalni węgla Onyeama,
- rozbudowę kopalni węgla Okagbe,
- budowę zakładu przeróbki mechanicznej Obwetti.

Aby przekonać decydentów, zaproponowałem prywatny, dżentelmeński zakład o trzy butelki Szkockiej Whisky, że po roku, tak jak jest w kontrakcie, wszystkie warunki umowy zostaną dotrzymane. Zakład był całkiem serio, spisany przez prawnika w obecności wielu świadków, a całość filmowała telewizja. Pierwszy kontrakt został podpisany, zakład został zawarty i mogłem przed końcem roku, tak jak obiecałem, zawieźć do Warszawy pierwszy czek na 10 milionów dolarów. W nagrodę za to, zaraz po Nowym Roku, premier Jaroszewicz udekorował mnie Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta, a minister Kulpiński nie stracił stanowiska. Podpisanie tego pierwszego kontraktu na taki szeroki zakres robót i krótki termin, obarczone było dużym ryzykiem, gdyż zaczynaliśmy dokładnie od zera, ale ja miałem już praktykę w Niemczech i wiedziałem na co stać ludzi z KOPEX-u Katowice, mojego głównego agenta handlowo wykonawczego.

NIGERIAN COAL CORPORATION

OVERSEAS MINE CONSTRUCTION CO

EXPORT IMPORT
MINING PLANTS and MACHINERY
SPLITTING EQUIPMENT
ul. 552 Katowice
Główna 1 POLAND
P.O. Box 245
Cable: Kapek Katowice

This was on 17th February, 1977 in Enugu - Anambra State Nigeria

Two Gentlemen

1. Dr. Agwu Akpala,
Chairman of the Board
Nigerian Coal Corporation
Enugu - Nigeria.
2. Franciszek Wszotek, M.Sc., Eng.,
Plenipotentiary of Polish
Ministry of Mines.

have agreed for a bet
for 3 bottles of SCOTCH WHISKY
namely

Bottle No.1

Onyeama Colliery within one year after Polish Mechanization has been introduced i.e. till 17th February, 1978 will increase its output from to-day's 500 tons up to 1,850 tons per day.

The Colliery employes at present 1,000 Miners and in a year the number of Miners will be the same.

Bottle No.2

Okagbe Colliery within one year after Polish Mechanization has been introduced i.e. till 30th November, 1978 will increase its output from to-day's 500 tons up to 1,850 tons per day.

The Colliery employes at present 1,000 Miners and in a year the number of Miners will be the same.

Bottle No. 3

Onyeama and Okagbe collieries within one year after Polish Mechanization has been introduced applying 5 years amortization and Polish Mining machines will decrease costs of production of one ton

BY 50 PER CENT

Economical reckoning and opening ceremony as far as bottles of Scotch Whisky are concerned will take place in a year i.e. on 17th February, 1978.

After the above is read and the written statement has been issued that two gentlemen are right in their minds it is hereby to be signed by them

Dr. Agwu Akpala

Franciszek Wszotek, M.Sc., Eng.

WITNESSES

ENUGU ON 17TH FEBRUARY, 1977.

Mrs C. N. Nwogji

Spisany zakład o trzy butelki Whisky.



Uroczyste spisanie zakładu o trzy butelki whisky. Od lewej: Wszółek, sekretarz, gubernator Anambwa i jego żona.

Wkrótce roboty ruszyły z kopyta, po roku mogliśmy wspólnie wypić wygraną whisky, a ja mogłem podpisać następne kontrakty, a to:

- z Włochami budowaliśmy wspólnie rafinerię Warri – wartości 150 milionów dolarów,
- na Saharze w państwie Niger rozpocząłem prace geologiczne i przygotowawcze do budowy dwóch kopalń uranu dla Rosji,
- w Angoli organizowałem szkoły dla kierowców samochodów.

Moja baza była w Nigerii w Lagos, kopalnie rozbudowywałem w Biafrze w Enugu, około tysiąca kilometrów od Lagos, do rafinerii Warri miałem tysiąc dwieście kilometrów, do portu Harcourt, gdzie rozładowywane były polskie maszyny, miałem tysiąc pięćset kilometrów, zaś do Niamei, stolicy Nigru, miałem dwa tysiące kilometrów. W zasadzie, od poniedziałku do piątku latałem samolotami i helikopterami. Do Lagos, gdzie miałem rezydencję i biuro budowy strzeżone przez prywatną policję, przylatywałem w piątek wieczorem. W rezydencji zatrudnialiśmy służbę, stewardów i kierowców. Posiadanie okazałej

rezydencji, było czymś oczywistym i niezbędnym. Miejscowi dygnitarze, z którymi miałem kontakty, jak i miejscowa ludność, nie wyobrażali sobie by biały dyrektor nie miał służby, kierowcy czy ochroniarza, a jeszcze lepiej kilku ochroniarzy. Wymagał tego jego prestiż. Po krótkim czasie zorientowałem się, że potrzebna jest osoba, która nad tym wszystkim zapanuje i wszystkiego na miejscu przypilnuje. Została nią moja córka Grażyna, która przerwała studia w Polsce i przyjechała pracować do Nigerii.



Dzięki niej, nasza rezydencja w krótkim czasie stała się centrum polonijnym w Lagos. W tym czasie, w Nigerii pracowało na kontraktach około pięćdziesięciu Polaków: lekarzy, profesorów i handlowców. Ja na moich budowach zatrudniałem średnio trzystu specjalistów, było więc kogo gościć i przyjmować. Było to tym bardziej potrzebne, że mieszkaliśmy w kraju o zupełnie odmiennej kulturze i zwyczajach, a nasze spotkania sprzyjały odreagowaniu pracujących tu Polaków i wymianie wiadomości z kraju.

Ilustracją różnic kulturowych i obyczajowych z jakimi mieliśmy na co dzień do czynienia, niech będzie to zdarzenie:

Zostałem zaproszony przez ministra przemysłu górniczego do odwiedzenia go w jego rodzinnych stronach. Po kilkugodzinnej jeździe ministerialną limuzyną zostałem zawieziony do rodzinnej wsi Pana Ministra. I cóż ja widzę? Chaty

sklecone z gałęzi zlepionych gliną i chyba krowim łajnem. Na środku placu, otoczony starszyzną, na wielkim dyrektorskim fotelu siedzi nasz gospodarz ubrany jedynie w skórę lwa, przystrojony w naszyjniki z zębów dzikich zwierząt, pomalowany tu i tam w jaskrawe wzory. Wokół oddział wojowników uzbrojonych w dzidy i tarcze porusza się miarowo w rytm grających bębnow, a nieco z boku pomalowany na biało szaman, co jakiś czas wydaje dziwne dźwięki. Scena jak z Hollywood, brakuje jedynie wielkiego kotła. Nic z tych rzeczy. Pan minister bowiem, prywatnie jest królem wioski i właśnie rozsądza miejscowe spory, a to wszystko dookoła, to są jego atrybuty władzy. Zostałem przedstawiony starszyźnie, szamanowi, a następnie żonom szamana. Podchodzę do pierwszej i w tym momencie widzę przerażony, że one mają po ... cztery ręce! Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to nie dodatkowe ręce, tylko ich... piersi! KobiECE piersi tak chude i tak nienaturalnie wyciągnięte. Powód tego okazał się prozaiczny: kobiety nosiły swe małe dzieci przywiązane na plecach. Aby dzieci nie płakały, przerzucały swą pierś przez ramię do tyłu do ssania dla dziecka. Im kobieta miała dłuższe piersi tym bardziej była poważana przez miejscową społeczność, bo to oznaczało że urodziła więcej dzieci. No cóż „de gustibus non est disputandum”. Ale najcięższą próbę przeszedłem w czasie uroczystego poczęstunku. W dowód uznania i szacunku zostałem poczęstowany miejscowym rarytasem i specjałem. Nie wiem co to było, ale wyglądało jak wielkie, tłuste, larwy jakichś owadów. Na sam widok zebrało mi się na wymioty, a tu wszyscy patrzą i wiem, że nie mogę ich obrazić odmową. Gdy sytuacja wydawała się bez wyjścia, doznałem olśnienia i powiedziałem, że dziękuję za zaszczyt jaki mnie spotkał, ale moja religia nakazuje mi w tych dniach odbywać post. Wódz przetłumaczył zebranym moje słowa i zostały one przyjęte z pełnym zrozumieniem.

MINISTRY OF MINES - POLAND

Franciszek WSZOLEK M.Sc./Mining
Plenipotentiary of Polish Minister of Mines

LAGOS-IKOYI
3, Alhaji Ribadu Rd.
Tel 680-113

Moja rezydencja w Lagos była zawsze pełna gości z Polski. Byli to dyrektorzy z KOPEX-u, dyrektorzy biur projektowych i firm wykonawczych, odwiedzali mnie licznie dygnitarze z Warszawy i ekipy telewizyjne. Miałem też „niecodziennych” gości, jak na przykład wówczas jeszcze mało znanego dziennikarza i pisarza Ryszarda Kapuścińskiego, którego gościłem ponad dwa tygodnie i któremu pomagałem w jego pierwszych krokach na Czarnym Lądzie lub grupę studentów Akademii Górniczo-Hutniczej z Krakowa. Studenci ci przyjechali do Nigerii samochodem ciężarowym „STAR”, trasą przez Saharę. Żabrało im to trochę czasu, ale dojechali, tylko samochód musieliśmy zezłomować. Studentów, po odbyciu miesięcznej praktyki, odesłałem statkiem do Polski.

Po wielkim sukcesie eksportowym, jakim okazały się nasze budowy w Afryce, do Nigerii przyleciała specjalnym samolotem Polska Delegacja Rządowa z Przewodniczącym Rady Państwa (odpowiednik dzisiejszego Prezydenta) Henrykiem Jabłońskim, wicepremierem Franciszkiem Kaimem oraz wiceministrem górnictwa M. Glanowskim.

Moja żona Lucyna i syn Andrzej byli u mnie po kilka miesięcy, co również dla nich było przygodą życia.

Ja osobiście, minimum co miesiąc, latałem do Polski przez Nowy Jork i Chicago, dla transferowania czeków po 5 czy 10 milionów dolarów, przez Bank Morgana w USA. Łącznie, do 1981-go roku, przewiozłem bądź przetransferowałem do kraju чеки na ponad 72 milionów dolarów. Ponadto, służbowo latałem do Anglii, Południowej Afryki, Konga, Wybrzeża Kości Słoniowej, Ghany, Rodezji, Tanzanii itd. Poznałem dość dobrze tak zwaną Czarną Afrykę.

Wszystko dobrze szło do 1980 roku, kiedy to w Polsce wybuchła SOLIDARNOŚĆ.

Strajki spowodowały przerwy, a potem brak dostaw polskich maszyn. Ze stanowisk wywalano dyrektorów, specjalistów od eksportu a nawet dyrektorów Biur Projektowych. KOPEX, mój główny agent handlowy w Polsce, prawie nie istniał. Nawet jedyny bank dewizowy HANDLO-BANK zawiadomił mnie, że mój rachunek jest zablokowany i faktury nie są realizowane, gdyż moje rezerwy dewizowe zostały skierowane na zakup leków i żywności. Zawiadomiono mnie, że Ministerstwo Górnictwa ulegnie likwidacji, a ja dalej mam się kierować własnym rozumem.

W prasie angielskiej i nigeryjskiej widziałem duże zdjęcia Wałęsy, Gwiazdy, Geremka i Walentynowicz. Pracownicy polskiej ambasady, jak i sam ambasador nie otrzymywali pensji z kraju i przez jakiś czas wypłaty dla nich robiłem im z mojego (firmowego) dolarowego konta.

Z e s t a w i e n i e

wynegocjowanych, podpisanych i zrealizowanych kontraktów górniczych
przez ZESPÓŁ WIELKICH BUDÓW GÓRNICZYCH -KOPEX w Nigerii w latach
1976 do 1979

I. Modernizacja i mechanizacja, nigeryjskiego
górnictwa węglowego,

- | | | | |
|--|---|--------|--------------|
| 1). modernizacja i mechanizacja kopalni
węgla ONYEAMA | - | US.\$. | 9.815.400,- |
| 2). modernizacja i mechanizacja kopalni
węgla OKPARA | - | US.\$. | 9.326.600,- |
| 3). budowa Zakładu Mechanicznej Prze-
róbki Węgla OBVETTI | - | US.\$. | 10.374.000,- |

II. Dostawy uzupełniające maszyn i urzą-
dzeń dla górnictwa węglowego,

- | | | |
|-----------------------------------|--------|-------------|
| 4). obudowa chodnikowa 100 kpl | US.\$. | 22.400,- |
| 5). obudowa chodnikowa 1.600 kpl. | US.\$. | 342.400,- |
| 6). obudowa chodnikowa 400 kpl. | US.\$. | 85.600,- |
| 7). cement 2.500 ton | US.\$. | 140.000,- |
| 8). maszyny budowlane | US.\$. | 1.582.720,- |
| 9). obudowa chodnikowa 1.000 kpl. | US.\$. | 204.000,- |

R a z e m US.\$.

31.975.120

III. Usługowy kontrakt na 17-tu specjali-
stów "grupy gwarancyjnej" w realizacji
który w szedł w życie w I-szym kw.1980
po wpłaceniu zaliczki przez NCC

US.\$.

32.922.776

R a z e m US.\$.

32.994.776

Lagos Enugu marzec 1980 r.

Zespół Wielkich Budów Górniczych
ONYEAMA - OKAGBE - OBVETTI
ENUGU - NIGERIA

Mgr. Inż. Franciszek Wszolek

Do tego wszystkiego, w 1980 roku upadła w Nigerii dyktatura wojskowa. Szef Państwa generał Obasandio został aresztowany, a władzę przejęli cywile z Prezydentem Szagarim na czele. Kierując się własnym rozumem, zlikwidowałem wszystkie interesy. Specjalistów odesłałem do Polski, a zostawiłem tylko tak zwaną grupę gwarancyjną składającą się z piętnastu osób z minimalnym zabezpieczeniem finansowym.

Dnia 15 listopada 1980 roku wróciłem do Polski.

Na własnym garnuszku

O sprawach moich budów w Nigerii nie było z kim rozmawiać, o mojej dalszej pracy też. Był to czas, gdy organizacje związkowe zwalniały i wybierały dyrektorów. Mimo kilkuletniego pobytu za granicą, ludzie górnictwa ciągle pamiętali mnie z czasów gdy byłem dyrektorem Zjednoczenia i wiceministrem i już 20-go listopada załoga CARBO AUTOMATYKA TYCHY wybrała mnie na Naczelnego Dyrektora firmy.

Po trzech tygodniach, 13-go grudnia 1981-go roku, ogłoszono STAN WOJENNY. Po następnych trzech tygodniach, w gazecie przeczytałem listę wywalonych dyrektorów, sympatyków „Solidarności”, a na niej moje nazwisko. Nigdy nie byłem członkiem „Solidarności”, bo w tym czasie byłem za granicą, a Wałęsę oglądałem tylko w TIMES-ie i innych gazetach. Równocześnie dostałem pismo od administracji wojskowej, że nie mam prawa pracy w przedsiębiorstwie państwowym, bo nominację dała mi „Solidarność”.

W ten sposób, po raz drugi z życia zostałem bezrobotnym, tylko tym razem bez prawa pracy w państwowym przedsiębiorstwie. Nie była to już dla mnie taka katastrofa jak za pierwszym razem, gdyż za dolary zarobione w Nigerii, wcześniej kupiłem dom, w którym mieszkam i dobry samochód Volvo.

Ja nie należę do ludzi, którzy mogą nic nie robić, dlatego zatrudniłem się w prywatnej firmie Polonijnej DAMARI – Bielsko-Biała. Szyliśmy płaszcze, ubrania, robiliśmy znaki drogowe itp. Kiedy zorientowałem się, że interesy finansowe firmy nie są czyste, szybko z Bielska uciekłem, bo nie chciałem być zamieszany w sprawy prokuratorsko-sądowe.

Przypadkowo poznałem Generalnego Dyrektora BALTONY Gdynia, który proponował mi organizację sklepów na terenie Śląska. BALTONA to była sieć sklepów stworzona na Pomorzu dla marynarzy. Sprzedawane tam były artykuły

spożywcze, AGD, oraz elektronika domowa. Sprzedaż prowadzona była tylko za dolary i bony towarowe.

Pierwszy sklep BALTONOWSKI zorganizowałem w Katowicach. Zatrudnionych w nim było 22 sprzedawców. Obroty były bardzo duże. W tym czasie najlepiej się sprzedawał telewizor OTAKE-JVC. W jednym sklepie przy ul. Miłkowskiej w Katowicach, dziennie sprzedawałem jeden samochód ciężarowy tych telewizorów. Do dzisiaj u mojej siostry Zosi Karpińskiej jest taki telewizor i wciąż dobrze odbiera! Następne sklepy założyłem w Zabrze, Sosnowcu, w Krakowie 3 sklepy, itd. W sumie, miałem 22 sklepy BALTONOWSKIE. Praca w BALTONIE to była dla mnie dobra praktyka handlowca.

Ale widać taką mam naturę, że to, co się kręci, nie interesuje mnie tak, jak to, co się dopiero rozkręca. Po dwóch latach założyłem polsko-austriacką firmę Joint-Venture SAG, produkującą liny wyrównawcze dla górnictwa, w której zostałem Przewodniczącym Rady Nadzorczej z pensją tysiąca dolarów na miesiąc. Firma prosperowała bardzo dobrze, a ja tym Przewodniczącym byłem przez dwie kadencje po 3 lata.

Przez 7 lat byłem Przewodniczącym Rady Nadzorczej firmy WTÓRPLAST – Bielsko-Biała. Firma funkcjonowała dobrze, zarabiałem tam drugą emeryturę, miałem służbowy samochód i komórkę. Niestety wiek już mi się odzywa i dojazd 60 km do Bielska-Białej i Kent były dla mnie za ciężkie, dlatego zakończyłem współpracę z tą firmą.

W 2006 roku założyłem własną firmę POLKARBON. Dzierżawię w Wałbrzychu składowisko żużli i popiołów po byłej elektrociepłowni VIKTORIA. Całe wysypisko należy zasypać żużlem, popiołami i materiałami budowlanymi jak gruz budowlany, a potem zasypać ziemią i zrekultywować. Wielkość tego składowiska to prawie milion ton. Jest to praca na wiele, wiele lat. Gdy nadarzyła się okazja, podpisałem z Włochami kontrakt na przywiezienie w pierwszym etapie 50 tysięcy ton żużli i popiołów. Wartość tego kontraktu to 5 milionów euro. Miałem pełną dokumentację zatwierdzoną przez Ministerstwo Ochrony Środowiska i Ekologów, miałem zgodę z Rzymu, Pragi, Wiednia i Warszawy na transport, brakowało tylko pieczętki i podpisu polskiego wiceministra Ochrony Środowiska pod zgodą na wysypywanie tych popiołów na przeznaczone do tego składowisko. Lecz wtedy odpowiedni wiceminister w Warszawie powiedział mojemu synowi Andrzejowi, że ta pieczętka i podpis kosztują 5 euro od tony, czyli około miliona złotych. Nie miałem wyboru i choć z trudem, ale zgodziłem się. Wtedy wiceminister oświadczył, że pieniądze są potrzebne zaraz

i w gotówce. Nie miałem takiej kwoty, a płacenie w ratach nie wchodziło w grę. Długo zastanawiałem się czy zgłosić tą korupcję odpowiednim służbom, ale co by to dało? Nie miałem żadnych dowodów, a mnie czekało by chodzenie po sądach i związane z tym kłopoty. Zdecydowałem więc całą sprawę odpuścić. Straciłem około miliona euro spodziewanych zysków, a Państwo Polskie drugie tyle z tytułu niepobranych podatków.

Ten łapówkarz wiceminister po trzech miesiącach został aresztowany za inną, podobną sprawę, dostał wyrok i siedzi w więzieniu.

Gdy sprawa kontraktu z Włochami zaczęła wyhamowywać, rozpocząłem współpracę z bogatym inwestorem z Koszyc na Słowacji. Inwestor postawił sprawę jasno: – *Dam pieniądze, ale pod warunkiem, że były wiceminister mgr inż. Franciszek Wszółek zagwarantuje przyszłe inwestycje swoim nazwiskiem, zainwestuje w nie również swoje pieniądze i będzie prezesem tych firm.* To był początek i podstawa szybkiego rozwoju moich firm.

Dzisiaj, w 2010 roku jestem prezesem:

- Firmy MAGMA – która kupiła 65 hektarów gruntów w Bytomiu, na których zalega 7 milionów ton piasku dolomitowego, który jest wydobywany na budowę dróg i autostrad oraz jako podsadzka płynna do wyeksploatowanych kopalnianych chodników.
- Firmy POLCARBON Sp. z o.o. – która posiada Zakład unieszkodliwiania odpadów w Kotlinie Kłodzkiej i obsługuje 20 miast – kurortów odbierając od nich odpady komunalne. Obecnie pracujemy nad projektem termicznego unieściewania odpadów, połączonego z produkcją energii elektrycznej. Jest to działalność proekologiczna popierana przez Unię Europejską, która gwarantuje pokrycie 75% kosztów inwestycji. Już jest realizowany pierwszy etap tej budowy.
- Firmy EKO-MAR w Jastrzębiu Zdroju. Jest to zakład unieszkodliwiania odpadów wraz z super nowoczesną sortownią, który zatrudnia 70 osób i obsługuje miasta: Cieszyn, Wisłę, Ustroń, Jastrzębie Zdrój.

W tych trzech firmach, których wartość wynosi około 120 milionów zł, jestem nie tylko Prezesem Zarządu, ale również współwłaścicielem, posiadam w nich 33% udziałów. Mam tę satysfakcję, że po mojej śmierci moja rodzina będzie zabezpieczona. Obecnie mój syn Andrzej jest moim pełnomocnikiem, a córka Grażyna jest Dyrektorem Finansowym. W Katowicach w budynku EURO-CENTRUM mamy piękne biura do kierowania wszystkimi firmami. Oczywiście, w naszej młodej demokracji napotykamy na wiele trudności, których

podstawą jest głównie zawiść, ale jakoś sobie z nimi radzimy, mając przy sobie zaufanych i rodzinnie powiązanych pracowników. Mamy przygotowane plany na najbliższe 20 lat. I tylko nie wiem jak zrobić, bym był młodszy o te 20 lat!

Stara Strzecha

Na początku lat siedemdziesiątych, gdy pracowałem w Lagos w Nigerii, odwiedzał mnie tam często wiceminister handlu zagranicznego Jan Strzelecki – prywatnie syn Władysława Gomułki. Zналиśmy się dobrze, i mogę powiedzieć, przyjaźniliśmy się. Podczas jednego z pobytów w Nigerii dałem Jasiowi Strzeleckiemu maskę czarownika wykonaną z hebanu (była bardzo ciężka, ważyła 12 kilogramów), jako podarunek dla ojca emeryta – Władysława Gomułki. Jak mi później opowiadał, ojciec tak bardzo się wzruszył otrzymanym prezentem, że trzeba było aż wezwać lekarza. Rozrusznik serca się rozregulował i nadawał się do wymiany. Stary Gomułka zobowiązał syna Jana by przywiózł mnie do niego na spotkanie, gdy tylko będę w Warszawie. I tak się stało. W Warszawie prosto z lotniska pojechaliśmy na Pragę. Skromne, trzypokojowe mieszkanie z brzydkimi starymi meblami, a sam Gomułka siedział w krześle na biegunach przy wielkim biurku zastawionym stosami książek i różnych papierów. Pisał wspomnienia i swój polityczny testament.

Podczas rozmowy zwrócił się do mnie: – *Ty masz kontakt z Edwardem Gierkiem to przekaz mu, że źle rządzi krajem, bo za dużo borgeje (pożycza)* – i pokazał mi taki mały szkolny kajecik. W tym dziesięciostronicowym zeszyciku o niebieskich okładkach, Gomułka prowadził swój prywatny budżet Polski Ludowej. Bez jego wiedzy i zgody nie wolno było zaciągać kredytów, bo Gomułka nie uznawał życia na kredyt. Pokazał mi zapis, że kiedy odchodził od władzy, to mieliśmy jako Polska zadłużenie na Zachodzie pół miliarda dolarów, a w krajach socjalistycznych mieliśmy nadwyżkę półtora miliarda dolarów. – *A teraz – mówi – Gierek narobił długów u kapitalistów na 18,5 miliarda dolarów. Powiedz Gierkowi, że taka polityka finansowa prowadzi do bankructwa!* Grzecznie wysłuchałem tej reprimendy, ale wiedziałem, że nie będę jej przekazywać adresatowi, bo po co? Gomułka wyraźnie nie rozumiał współczesnego świata i mechanizmów nim rządzących.

W czasie gdy byłem dyrektorem kopalni „Wujek”, a potem dyrektorem Zjednoczenia i wprowadzałem nowoczesne metody technologii górniczej,

Pierwszym Sekretarzem Partii w Katowicach był Edward Gierek. Był on wielką pomocą we wprowadzaniu moich pomysłów, które nie zawsze były „socjalistyczne” i niekiedy mocno pachniały kapitalizmem Zachodu. Mając w nim oparcie na wiele mogłem sobie pozwolić. Po prostu Edward Gierek mnie lubił, mówił do mnie po imieniu, a pod koniec jego życia, gdy wszyscy go opuścili, ja jeden pozostałem i regularnie co tydzień odwiedzałem go w jego domu w Ustroniu, który nazywał „pustelnią beskidzką”. Musiałem mu co tydzień składać „raporty”, co nowego dzieje się na Śląsku i w Zagłębiu oraz jak zachowują się ludzie, którzy go opuścili a nawet zdradzili. Na tle tych ludzi, prości chłopci spod Sieradza, którzy zbudowali w stanie wojennym salę gimnastyczną i nadali jej imię Edwarda Gierka, wypadali wspaniale. I prości ludzie nadal go szanują. Któregoś dnia powiedziałem mu o moim spotkaniu z Gomułką. Gierek odpowiedział, że zapisane w kajeciku cyfry są prawdziwe, ale gdyby ruszyła Polska gospodarka, czego pierwsze sygnały były widoczne w 1979 roku, to przy eksporcie na Zachód wynoszącym 10 miliardów dolarów na rok, zadłużenie to można by spłacić w ciągu dwóch, trzech lat. Gierek był zdania, że najpierw trzeba inwestować, potem produkować, a potem spłacać zaciągnięte kredyty.

Dzisiaj niektórzy „mądrale” krytykują Gierka za zaciągnięte kredyty, ale zapominają, że zbudowano za nie Hutę Katowice, fabrykę Fiata w Tychach, rozbudowano sieć dróg i wiele, wiele inwestycji, dzięki którym teraz jest co prywatyzować.

Po odsunięciu od wszystkich stanowisk i funkcji, Edward Gierek przeszedł na emeryturę. Miesięcznie otrzymywał 1 720 złotych(!) emerytury. Ja z Janem Szydłakiem, byłem członkiem KC i wicepremierem, napisaliśmy do Belgii wnioszek o przyznanie górnikowi Edwardowi Gierkowi renty inwalidzkiej za pylicę, której nabawił się w czasie pracy w kopalniach belgijskich. Po miesiącu od wystąpienia wniosku, Król Belgów Baudouin przyznał Gierkowi, z kasy królewskiej, rentę specjalną w wysokości tysiąca dolarów na miesiąc, która to renta była wypłacana przez Ambasadę Belgii w Warszawie. Co miesiąc przyjeżdżał z Ambasady urzędnik i przywoził równowartość we frankach belgijskich. Ta darowizna Króla Belgów postawiła na koniec życia Gierka na nogi. Gdy uzbierał kilka tysięcy dolarów, to dał je synowi prof. Adamowi Gierkowi, który kupił za nie stary, zrujnowany dom w dzielnicy Ochojec w Katowicach. Jego remont sfinansował już jednak za własne pieniądze, jako senator i europarlamentarzysta, niestety już po śmierci ojca. Sam Gierek żył bardzo skromnie i po prawdzie zmarł w biedzie.



Na 88-ch urodzinach Edwarda Gierka. Od lewej: Wszótek, Stanisława Gierkowa, syn Adam Gierek. Na fotelu inwalidzkim Edward Gierek.

Z materialnych rzeczy pozostawił po sobie „zimną daczę” w Ustroniu, którą komisja budowlana uznała niedawno za nienadającą się do zamieszkania i samochód Fiat-Maluch, który otrzymał od nas w podarunku – zrobiliśmy składkę. Był z tym pewien kłopot: obdarowany nie miał prawa jazdy, jednak emeryci instruktorzy za darmo zorganizowali mu naukę jazdy i po czterech miesiącach, wśród śmiechu najbliższych, oglądaliśmy jak on, wielki chłop, z trudem wciskał się do swego „Malucha” i powoli odjeżdżał na swą pierwszą przejażdżkę.

Po ogłoszeniu stanu wojennego został internowany razem z innymi byłymi działaczami partyjno państwowymi. Szydłak, który opiekował się tam Gierkiem opowiadał mi, że cierpiał on na kręgosłup i leżenie na więziennej pryczy sprawiało mu wielki ból. Na noc zdejmowali więc drzwi z celi więziennej i na tych drzwiach dopiero mógł spać.

W czasie gdy „ministrowałem” w Warszawie, moim bezpośrednim zwierzchnikiem był wicepremier od spraw gospodarczych Piotr Jaroszewicz. Miałem z nim codzienny kontakt za pomocą telefonów rządowych, które nie były podsłuchiwane, ale obsługiwane przez tak zwany wywiad wewnętrzny. Codziennie o godzinie 8.30 składałem wicepremierowi pięciominutowy raport za dzień ubiegły, co się działo w górnictwie węglowym, naftowym, gazowym i energetyce. Jaroszewicz był rzeczowym praktykiem, człowiekiem życzliwym innym, powszechnie lubianym i szanowanym. Mówił biegle po rosyjsku oraz angielsku i był szanowany zarówno na Wschodzie jak i Zachodzie. W kraju złą opinię robił mu jego syn Andrzej znany rajdowiec i playboy, nazywany „czerwonym księciem”. W latach siedemdziesiątych, gdy był premierem przy Gierku odpowiadał za sprawy gospodarki i brał na siebie za to pełną odpowiedzialność. Gdy uważał, że trzeba podnieść ceny mięsa zrobił to. Była to decyzja słuszna z punktu widzenia interesu gospodarki, ale błędna politycznie. Wkrótce stracił wszystkie funkcje i stanowiska. Zastąpił go nieudolny premier Babiuch z Sosnowca (Strzemieszyce), sąsiad mojego teścia. Gdy generał Jaruzelski wprowadził stan wojenny, polecił internować nie tylko Gierka i Szydłaka, ale również i Jaroszewicza, który już od dwóch lat nie był decydemtem ani gospodarczym ani partyjnym.

Opowiadał mi Jasiu Szydłak, że zaraz po internowaniu przewieziono ich do jakiegoś więzienia w okolicach Brześcia. Było to jakieś stare więzienie zbudowane prawdopodobnie w czasach cara rosyjskiego. Ponury zimny budynek z jednym, ogromnym żeliwnym kranem zawieszonym na ścianie. Szydłak rano wstał i wyszedł na korytarz, a przy tym kranie wysoki wychudzony Jaroszewicz

prał sobie majtki, a że nie miał drugih, to owinął się do pasa koszulą. Szydłak mówił, że na ten widok zdrętwiał. Jaroszewicz był przed wojną nauczycielem w rejonie Siedlec. Wysiedlony w głąb Rosji rąbał drzewo na Syberii. Nie zdążył wstąpić do armii Andersa, wstąpił do armii Berlinga. Był tam jednym z niewielu umiejących czytać i pisać, został więc pisarzem w kompanii. Był wykształcony i czytany, umiał pisać i napisać rozkazy i pisma za swych niewykształconych zwierzchników, więc stopniowo awansował: był pisarzem w brygadzie, pułku. Już jako pułkownik Ludowego Wojska Polskiego doszedł do Berlina do Bramy Brandemburskiej. I tam 20 maja 1945 roku, bezpośrednio z frontu został oddelegowany do Warszawy, gdzie zebrał się polski parlament pod nazwą Krajowa Rada Narodowa. Tam Jaroszewicz i jeszcze czterech frontowych żołnierzy, wszyscy w brudnych frontowych mundurach, zameldowali Polsce, że Berlin zdobyty i wojnę wygraliśmy. Po odczytaniu raportu, Jaroszewicz pozostał w Warszawie i rozpoczął karierę działacza gospodarczego. Został Wiceministrem Ziem Odzyskanych, potem pełnił najwyższe funkcje w państwie a w latach gierkowskich był Premierem. Po przeniesieniu do rezerwy stopniowo awansowano go do stopnia generała dywizji. I ten człowiek internowany przez swoich podwładnych nie miał drugih majtek na zmianę i prał majtki w zimnej wodzie.

Jak wiadomo Premier Jaroszewicz wraz z żoną został bestialsko zamordowany w swoim domu w Aninie, a sprawców do tej pory nie wykryto. Nie był to mord rabunkowy. Według mnie jego śmierć to sprawa polityczna i to nie polska, bowiem ten człowiek znał wiele tajemnic Układu Warszawskiego, które dla wielu osób w Warszawie i Moskwie mogły być niebezpieczne. Według jego syna Andrzeja w domu zastano otworzony sejf, a ciała nosiły ślady tortur.

Dlaczego na zakończenie mych wspomnień piszę o Gomułce, Gierku i Jaroszewiczu? Bo łączy ich coś, czego nie dostrzegam wśród obecnej, najwyższej kadry w Polsce: oni byli prawdziwymi ideowcami. Oni naprawdę wierzyli w to, co robili i starali się to robić najlepiej, jak umieli dla dobra Polski. Dzisiaj wiemy, że ich podstawy ideowe to była utopia niemożliwa do zrealizowania, ale wiemy to teraz, po dwudziestu latach gospodarki rynkowej. Dzisiaj, kandydat na prezydenta RP mówi, że Gierek to był patriota, chociaż komunista i w ogóle nie był zły. Święte słowa, ale jaka jest ich wiarygodność wobec jego późniejszych słów, deklaracji i zachowań? Gomułka, Gierek, Jaroszewicz nie

byli koniunkturalistami. Z godnością znosili upokorzenia jakich doznawali po odsunięciu od najwyższych stanowisk. Przypominam sobie jak podczas jednej z naszych gorących dyskusji na temat polskich przemian prowadzonych w „pustelni beskidzkiej” w Ustroniu, powiedziałem do Gierka i Szydłaka: – *Byliście frajerami, bo nie umieliście kraść! Spójrzcie: minister Dębski, ten od sportu, był ministrem 17 miesięcy a w tym czasie jego konkubina wywiozła do Wiednia do mafiosa „Baraniny” 400 tysięcy dolarów, to ja się pytam, ile on kradł na miesiąc? A wam brakuje na lekarstwa! Wam, jednemu, który pełnił obowiązki dzisiejszego Prezydenta, i drugiemu, który był przez wiele lat wicepremierem!* – Odpowiedź Gierka była: – *Franek! Jak ty możesz tak mówić!* Jeszcze w czasach komunistycznych zmarła jego matka. Byłem na jej pogrzebie. Mszę żałobną odprawiało czterech księży, a Gierek, Pierwszy Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, czekał pokornie na trumnę matki przed kościołem. Podobnie było na pogrzebie matki wicepremiera Jana Mitręgi, który głośno ogłosił że jest komunistą. Taka dziwna była ta polska komuna: mimo przeciwności budowano kościoły, które były pełne – dzisiaj są pustawe, rolnictwo było w 80% prywatne, rzemiosło było gnębione, ale było.

Edward Gierek, jak mówił jego syn Adam, był fantastą. Sądził, że można zbudować w Polsce raj. Do końca życia martwił się, że górnicy tracą miejsca pracy, że jest coraz większe bezrobocie i że będzie bieda, przed którą on, przed wojną, wyemigrował do Belgii i Francji.

Na pogrzebie Edwarda Gierka było 40 tysięcy osób, co zrobiło w Warszawie i w całym kraju ogromne wrażenie.

Gomułka, Gierek, Szydłak, Jaroszewicz, Mitręga, ja i wiele milionów obywateli, żyliśmy i pracowaliśmy w Polsce i dla Polski takiej jaka była. Dzisiaj wszyscy, którzy żyliśmy w okresie Polski Ludowej jesteśmy nazywani postkomunistami i z tego powodu atakowani przez nową generację. Ale przecież nie wszystko było wtedy złe. W przeciwnym razie należało by zburzyć i zaorać cały kraj i zwrócić zdobyte wówczas dyplomy wyższych uczelni. I dotyczy to wszystkich, którzy żyli i pracowali w czasach realnego socjalizmu, również tych nielicznych, którzy byli wtedy w opozycji. Marzy mi się taki czas, gdy młodzi ludzie będą dostrzegać i szanować osiągnięcia poprzednich pokoleń i będą okazywać to minimum szacunku tym, którzy lepiej lub gorzej, ale pracowali pomnażając dobra wspólnej Ojczyzny. To nie nasza wina, że żyliśmy w PRL-u, ważne cośmy dla Polski i Polaków zrobili.

Po tragicznej katastrofie samolotu z Państwową Delegacją na uroczystości w Katyniu, zostałem zaproszony przez Arcybiskupa Metropolitę Śląskiego Damiana Zimonia na uroczysty pogrzeb jednej z ofiar tej tragedii, wicemarszałek senatu Krystyny Bochenek. Wśród przedstawicieli Województwa Śląskiego byłem jedynym ubranym w galowy mundur górniczy. Posadzono mnie w grupie rządowej obok Premiera Tuska, Marszałka Senatu Borusewicza i Przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Buzka. Po uroczystej mszy żałobnej, jako oficjalny przedstawiciel Ziemi Śląskiej składałem kondolencje mężowi pani Krysi Bochenek – Andrzejowi, oraz w imieniu Śląska, razem z arcybiskupem Zimoniem, dziękowałem najwyższym przedstawicielom polskiego rządu i parlamentu za udział w pogrzebie naszej kochanej Ślązaczki. W czasie godzinnego przemarszu na cmentarz, rozmawiałem z Premierem Tuskiem o górnictwie i sprawach Śląska. Premier po pewnym czasie zaczął mówić do mnie po imieniu. Dało mi to wielką satysfakcję i nadzieję, że obecne kierownictwo Kraju będzie korzystać z doświadczenia starszych, doceni ich dokonania i będzie pamiętać o górniczym Śląsku, który powoli umiera. Miałem nadzieję, że zachowanie premiera było szczere, a nie podyktowane jedynie doraźnymi potrzebami marketingu politycznego.

Przechodząc jakiś czas temu ulicą Piękną w Katowicach, zobaczyłem kilka starszych osób porządkujących ogród wokół domu, w którym mieszkał Jan Szydłak. Podszedłem do nich zaintrygowany. Wiem bowiem, że gospodarz zmarł kilkanaście lat temu, a w domu mieszka jego prawie niewidoma żona Maria, razem z ich dorosłym niepełnosprawnym synem. Kto opłaca pracę tych ogrodników, skoro pobiera ona rentę około dwa tysiące złotych? Nikt. To emerytowani górnicy z pobliskiej kopalni „Wujek”, którzy przychodzą regularnie by bezinteresownie pomagać niewidomej wdowie w utrzymaniu czystości wokół jej domu. Jest to również ich wyraz pamięci po jej mężu, który gdy piastował wysokie funkcje dbał o sprawy górników i Śląska.

Jestem jak ten ostatni Mohikanin. Ministerstwa Górnictwa i Energetyki już dawno nie ma, ale ja jeszcze żyję i reprezentuję Starą Strzechę, która to górnictwo węglowe, naftowe i gazownictwo budowała.

EPILOG

Mam 88 lat i od 20-tego roku życia do dziś pracuję i płacę składki ZUS. Przepracowałem więc 68 lat. To chyba swego rodzaju rekord. Trochę źle się urodziłem: gdybym był młodszy o jakieś 25 lat, to skorzystałbym z tego, że jesteśmy wolni. Zmiany na lepsze są przecież widoczne na każdym kroku.

Moje życie to było budowanie, budowanie, praca, praca, praca. Jeżdżąc na delegacje służbowe zwiedziłem prawie cały świat. Nie pamiętam, kiedy miałem urlop!!!

Byłem na wozie i pod wozem, byłem robotnikiem, dyrektorem, wiceministrem i bezrobotnym. Siedziałem w więzieniu za to, że jestem Polakiem.

Posiadam 23 odznaczenia i medale krajowe i zagraniczne, w tym Krzyż Komandorski. Jestem dożywotnim generałem górniczym. Mam córkę, syna i czworo wnuków.

Jestem z życia zadowolony, szkoda, że się niedługo skończy.

Franciszek Wszolek





Autor z synem Andrzejem

Spis treści:

Wstęp	5
Rodzice i dom	6
Rok 1939.....	7
Okres krakowski	11
Po wyzwoleniu.....	15
Śląsk wzywa.....	18
Kopalnia „Wujek”	24
Okres zagłębiowski.....	38
Na ministerialnym stołku.....	52
Na budowach w NRD.....	67
Na Czarnym Łądzie	69
Na własnym garnuszku	76
Stara Strzecha.....	79
Epilog.....	86



„TAK BYŁO” to autobiograficzny opis ponad 80-cio letniego życia i kariery zawodowej inżyniera górnika Franciszka Wszółka. Jest to życiorys niezwykle. Przedstawia losy chłopskiego syna z Gorlic, który całe swoje dorosłe życie związał z górnictwem. Harcerz - żołnierz września 1939r., więzień gestapo. Po wojnie był sztygarem, dyrektorem kopalni, dyrektorem Zjednoczenia i przez 17 lat wiceministrem Górnictwa i Energetyki. Obecnie biznesmen. Przez cały czas patriota Śląska i Zagłębia i swych rodzinnych Gorlic.

Jest to chronologiczny zbiór krótkich opisów zdarzeń podanych często w anegdotycznej formie, które dają obraz, w jaki sposób pracowały instytucje w Polsce Ludowej lat 50-tych i 60-tych i jak podejmowano wtedy decyzje. Jakże odmienny jest to obraz od tego, który znamy z lektur ówczesnych gazet i relacji Dziennika Telewizyjnego. Jest to lektura wciągająca i poruszająca, ukazująca wiele zupełnie nieznanych zdarzeń z życia czołowych osób w Polsce.